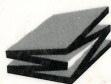


I N G M A R

bergman

Rozmowy  
poufne



WYDAWNICTWO  
WARSZAWSKIE

INGMAR BERGMAN

---

Rozmowy  
poufne

I  
N  
G  
M  
A  
R

bergman

# Rozmowy poufne

przełożyła Halina Thylwe



WYDAWNICTWO  
WARSZAWSKIE

tytuł oryginału szwedzkiego  
"Enskilda samtal"

copyright © by Ingmar Bergman 1996  
originally published by Norstedts Förlag, Stockholm

copyright © for the Polish edition  
by Wydawnictwo Warszawskie sp. z o. o. ,  
Warszawa 1996

copyright © for the Polish translation  
by Halina Thylwe, 1996

projekt graficzny okładki i karty tytułowej  
Maciej Marchewicz

druk  
Elanders Polska sp. z o. o.

dystrybucja  
INTERNOVATOR  
ul. Postępu 2, 02-676 Warszawa  
tel/fax 43 04 20

ISBN 83-905991-2-0

*Wydawnictwo dziękuje  
pani Agnecie Markås  
za umożliwienie równoczesnego  
ukazania się „Rozmów...”  
w Szwecji i w Polsce*

## Rozmowa pierwsza

*lipiec 1925*

Ostatnia niedziela lipca 1925 roku, słoneczne popołudnie. Zegar na kościelnej wieży wybija w pół do czwartej. Wymarłe ulice. Obok zachodniej ściany cmentarza sąsiadującego z rozległym rynkiem, przy którym stoi teatr i hala targowa, z mozołem wspina się pod górę tramwaj. Na przystanku wysiada kobieta. Stoi.

Anna.

Jest w beżowym kostiumie wizytowym, ciemniejsza o ton spódnica sięga kostek, buty na wysokim obcasie, prosty kapelusz, rozchylone poły żakietu odsłaniają białą, zapiętą pod szyję koronkową bluzkę. Nie licząc ślubnych obrączek i brylantowych kolczyków, nie ma biżuterii. Przyciska do piersi jasną skórzaną torebkę. Z kieszeni żakietu wystają niedbale wsunięte rękawiczki.

Zdejmuje kapelusz, trzyma go w lewej dłoni. Zebrane w kok upięty na szyi, rozdzielone przedziałkiem gęste ciemne włosy w lekkim nieładzie. Pod wyraźnie zaznaczonymi brwiami błyszczą piwne oczy. Czoło niskie. Usta duże, wargi pełne.

Anna.

Od dwunastu lat żona Henryka, wikarego kościoła o majestatycznej kopule, z zegarem, który właśnie wybił wpół do czwartej. Skończyła trzydzieści sześć lat, ma troje dzieci, dwóch synów i córkę.

Rozgląda się i wybiera drogę przez cmentarz, gdzie na jednej z zielonych ławek, w cieniu pachnących lip, może na chwilę usiąść, odetchnąć, ochłodzić się.

Jak zwykle idzie szybko, stanowczo, z lekko wysuniętą głową, rzucając badawcze spojrzenia. Pusto i cicho, ani żywej duszy. Gdy nagle słyszy swoje imię, odwraca się i mocno czerwieni, wystraszona.

Wujek Jakub.

Siedzi na ławce pod kościelnym murem w głębokim cieniu rozłożystego drzewa i macha ku niej dużą dłonią. Dzień dobry, dzień dobry, Aniu, przysiądź się na moment, chyba się nigdzie nie spieszysz. No, chodź.

Wujek Jakub to postawny mężczyzna o przyprószonych siwizną niesfornych włosach, siwej zadbanej brodzie i wąsach. Nalana twarz, wysokie czoło, szare oczy, okazały nos, opadające kąciki szerokich ust. Dłonie, duże i kształtne, znaczą nabrzmiałe żyły i nieregularne starcze plamki. Mówi niskim głosem, ze śladami bodaj smålandzkiego dialektu. Ma na sobie szary letni surdut pastora. Kapelusze z szerokim rondem leży obok, na ławce. Sześćdziesięcioletni Jakub od dwudziestu lat jest proboszczem tej parafii, a tym samym przełożonym Henryka. Poklepuje Annę po policzku swą dużą dłonią,

Anna dyga i niepewnie się uśmiecha, próbuje zapanować nad uczuciem zaskoczenia. Przyłapania.

Bo przecież została przyłapana.

Jakub zaprasza ją, żeby usiadła obok. Wymieniają krótkie informacje, dopytują o zdrowie członków rodziny. Jakub wrócił z pogrzebu. O szóstej idzie na mszę, obiecał, że będzie obecny podczas komunii. W poniedziałek wybiera się do Marii, która się wreszcie wykaraskała z przewlekłego przeziębienia i czuje się świetnie, jedzie na wyspę, zostało mu jeszcze parę dni urlopu. Jakie piękne lato. Choć przydałoby się trochę deszczu, zwłaszcza nad morzem.

A Anna?

No cóż, dzieci są w Dalarnie, u babci. Doktor zalecił im leśne powietrze po wiosennych infekcjach. W drugim tygodniu sierpnia zjadą do domu letniego na archipelagu. Cała trójka jest zdrowa, mają się dobrze. Henryk pojechał na seminarium. Ale Jakub o tym wie, to seminarium ekumeniczne w Sigtunie. Wiosna wszystkim dała się we znaki, nękały nas rozmaite przypadłości. Teraz Henryk czuje się dobrze. Nie uskarża się już na bezsenność, morze ma na niego zbawienny wpływ. Anna tęskni za dziećmi, nie chce jednak zostawiać Henryka samego, on jej potrzebuje.

– A co Anna robi w Sztokholmie? – nieoczekiwanie pyta Jakub.

Anna czerwieni się i lekko uśmiecha. Byłam u fryzjerki. W tajemnicy, rozumie wujek. A wczoraj wieczorem byłam na kolacji u Hasselrothów, uroczy ludzie, moi serdeczni przyjaciele. Henryk nigdy nie

---



dał się namówić na wspólną wizytę, nie bardzo wiem, czemu. Może dlatego, że to moi znajomi, nie jego. A jutro wybieram się na parę dni do Dalarny, do mamy i dzieci. Henryk przez tydzień będzie sam, zadba o niego staruszka Alma, więc pewnie wszystko będzie dobrze. Widzi wujek, chciałabym pobyć trochę z Ma, po śmierci Ernesta czuje się bardzo samotna... i ja...

Anna odwraca głowę i wyciera oczy. Nie potrafię się pogodzić z tą nagłą, straszną śmiercią. Mama go kochała. Myślę, że kochała tylko Ernesta.

Chowa twarz w dłoni. Jakub słucha w milczeniu, patrzy na nią. Anna opuszcza dłoń. Tyle się uzbierało, jedna wielka płatanina. Przepraszam, wujku Jakubie, nie jestem płaczliwa, ale tyle się tego uzbierało...

Opanowuje się, wyciera nos dużą chusteczką. Muszę już iść. Henryk może dzwonić o czwartej. Będzie się martwił, jeśli mnie nie zastanie. Ale zapraszam wujka do siebie. Na kawę i kanapki.

Jakub kiwa głową i poklepuje Annę po ramieniu. Świetnie. To znacznie lepsze niż obfita kolacja przed mszą. Chodźmy.

Anna i Henryk mieszkają na drugim piętrze w pastoracie, w narożnym mieszkaniu, którego okna wychodzą na bujną zieleń cmentarza i wąski zaułek. Wszystko jest przykryte, zwinięte, popakowane. Przez uchylone okna wpada nieco ożywczego powietrza. Żyrandol spowija tarlatan, parkiet jest nagi, meble i sprzęty chronią białe poźółkłe pokrowce. W kącie tyka zegar. Za parę minut czwarta.

Anna odsłania dla Jakuba kanapę o niebieskim aksamitnym obiciu. U jego kolan stoi mały elegancki stolik, na nim taca z kanapkami, ser, kiełbasa, solone mięso. Anna siada na krześle przy dużym okrągłym stole o marmurowym blacie. Za jej plecami, na ścianie, wisi obraz w złotych ramach. Matka Boska z Dzieciątkiem. Na postarzałej twarzy Józefa maluje się wyraz tłumionego zdumienia. W tle mającą pasterze i anioły. Obraz jest zasłonięty tarlatanem.

Niespieszna rozmowa urwała się. Anna odwraca się do okna, przesuwa dłonią po marmurze stołu. Jakub je kanapkę w milczeniu. Pozwolisz, że zapalę? – pyta wreszcie, niejako mimochodem, wyjmując fajkę i woreczek z tytoniem. Anna uśmiecha się, zaraz jednak poważnieje.

Gest przyzwolenia.

– Czy wujek ma czas?

– O szóstej msza, a potem...

– A potem?

– Cały wieczór wolny. Jak długo zechcesz.

Cisza.

– Może źle robię, sama nie wiem.

– Konfirmowałem cię, jestem twoim spowiednikiem. Możesz mi o wszystkim powiedzieć. Nawet musisz.

– A więc niech się stanie...

Jakub pochyla się i z niezwykłą pieczołowitością zapala fajkę. Anna patrzy na niego w napięciu. Głęboki wdech. Przygląda się dłoniom spoczywającym na oparciu krzesła.

– Jestem niewierną żoną.

Żyję z innym mężczyzną.  
Zdradzam Henryka.  
Boję się.  
Nie mam wyrzutów sumienia.  
To byłoby śmieszne.  
Tylko lęk.  
Nie wiem, co robić.  
Inny mężczyzna.  
Jest dziesięć, nie, jedenaście lat młodszy.  
Studiuje teologię. Będzie księdzem.  
Powinnam to przerwać.  
Również ze względu na niego.  
Ale nie potrafię.  
Kocham go.  
Przeszło rok.  
Od ponad roku.  
Wujek Jakub go zna.  
To Tomas.  
Dzieci go znają.  
I Henryk.  
Za chwilę zabraknie mi tchu.  
Jakub kiwa głową. Anna mówi dalej:

– Mama była wrogo nastawiona do mojego małżeństwa z Henrykiem. Ale kiedy się w końcu pobraliśmy, zaczęła nas wspierać na wszelkie możliwe sposoby. Trwało to tylko dwa lata. Dwa lata.

Anna milknie i uśmiecha się ze smutkiem. Proboszcz nic nie mówi.

– Tak. Dwa lata. Później zrozumiałam, że matka miała rację. Nie pasowaliśmy do siebie. Henryk osaczył mnie swoimi kompleksami, swoimi ranami. Mia-

łam mu matkować. A on był moim dzieckiem. Moim jedynym dzieckiem. Zawsze musi wiedzieć, gdzie jestem, chce znać moje myśli. Jestem jak więzień, w więzieniu uczuć. Nie umiem tego inaczej określić.

Anna wstaje. Pewnym krokiem przemierza pokój. Skrzypi parkiet. Splotła dłonie na plecach. Byłoby tylko nie płakać. Zaraz powie, jak to jest. Nie, nie jak jest, bo tego nie wie. Powie, jakie ją nachodzą myśli, jakie są jej odczucia, tajone wyobrażenia, które wtargnęły w jej uporządkowaną rzeczywistość, zagrożają życiu. (Do tego stopnia? To chyba przesada? Nie, raczej nie. Pewnego dnia spiętrzone pokłady bólu pokonają zapory i wedrą się w nią, zaatakują nerwy, mózg, serce, łono, przysporzą cierpienia, pozostawią nie gojące się rany.)

– Zaczęło się bardzo niewinnie i dosyć podstępnie. Poprosiłam Tomasa, by nas latem odwiedził w Vårö, w domu letnim rodziców, w jednym z najpiękniejszych zakątków Dalarny. Mieliśmy tam być z Henrykiem i z dziećmi, i z Gertrudą. Mama wybierała się w tym czasie na archipelag, do pasierbów. Zaprosiłam Tomasa na świętego Jana. Tymczasem Henrykowi wypadła jakaś konferencja. Gdy chciałam odwołać zaproszenie, uznał, że Tomasa mimo wszystko powinien przyjechać. Żartowaliśmy, że z Tomasa i Gertrudy byłaby dobra para, że Gertruda byłaby świetną pastorową. I Tomasa przyjechał w przeddzień świętego Jana. Gertruda już była. Służące miały urlop, pomagała mi pewna obrotna dziewczyna z wioski. Czułam się prawdziwie wolna, szczęśliwa. Po długich deszczach wszystko mieniło się i rozkwitło, co-

dziennie świeciło słońce... Ale się rozgadałam. Wiem, że plotę o wszystkim, co dla wujka nie ma najmniejszego znaczenia.

Anna zatrzymuje się naprzeciwko Jakuba, dłonie na plecach, i patrzy na niego. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie pojawiają się łzy. Opanowuje się.

– Tak, to było niewinne i podstępne. Bawiliśmy się z dziećmi, zbieraliśmy poziomki, zajadaliśmy szynkę z młodymi ziemniakami i zsiadłe mleko z piernikami. Wieczorem graliśmy i śpiewaliśmy. Gertruda ma piękny głos. Tomas też. I zna mnóstwo piosenek. Czasami wyprawialiśmy się za rzekę do szalasów pasterskich w Bäsnie i Grånäsie. Zawsze we troje, Gertruda, Tomas i ja. Tak się cieszyłam... Tak się cieszyłam, że mogłabym... Byłam radosna, wujku. I chyba poniosła mnie pycha, bo dobrze pamiętam, co sobie wtedy pomyślałam: Zadurzyłam się w tym chłopcu, zadurzyłam się po uszy. To było nawet nieco komiczne. I chociaż nie wstydzę się tego uczucia, nie będę go okazywać, tylko zatrzymam dla siebie. Niekiedy zostawiałam Tomasa z Gertrudą samych. Przeznaczyłam ich dla siebie. Naprawdę chciałam, żeby byli razem. Wydawało mi się, że się unoszę, że latam, ja, taka ociężała.

Anna pospiesznie podnosi rękę i siada na kanapie obok proboszcza, przez chwilę trzyma jego dużą, poznaczoną starczymi plamkami dłoń.

– W jednym z ostatnich dni pobytu Tomasa w Våröms zeszałam ze swojego pokoju do jadalni, żeby nakryć do obiadu. Dzieci bawiły się koło werandy, Gertruda pisała list na hamaku. Tomas pomagał mi,

ustawiał szklanki i talerze. Nagle znieruchomiał, wymowałam właśnie z szafki talerzyki deserowe, i ni stąd, ni zowąd, mówi, że mnie lubi. Że mnie... lubi... powiedział „kocham”... od dwóch lat. I że nie wie, jak dalej będzie żył beze mnie. Dodał jeszcze, żebym się na niego nie gniewała. Nie bardzo jednak wiem, co mówił. Przestałam słuchać. To było straszne, nierzeczywiste i pomyślałam: Wszystko stracone, wszystko na nic, nie byłby przecież takim idiotą.

Jakub patrzy na zegar i z pewnym wysiłkiem podnosi się z kanapy.

– Muszę już iść, Aniu. Przepraszam cię, ale nie mogę być za późno w kościele. Jeśli chcesz, możemy kontynuować naszą rozmowę po mszy. Tylko się przebiorę, włożę coś wygodniejszego. Powiedzmy, o ósmej. Dobrze?

Anna dziękuje bez przekonania. Jakub poklepuje ją po ramieniu. Może byś przyszła do kościoła? – proponuje dosyć nieoczekiwanie, już w przedpokoju. Dzisiaj nie będzie zapewne dużo osób. Wprawdzie niewiele da się usłyszeć z kazania Arboreliusza, co ma być może swoje dobre strony, ale Ehrling zagra na organach, a gra pięknie, i chór zaśpiewa dwa motety Moréna. Więc będzie i coś dla duszy.

Zastanawia się przez chwilę i patrzy na nią, niemal surowo.

– Jeśli chciałabyś przyjąć komunię, zrób to. Tym, którzy żyją w bojaźni, którzy są w potrzebie i nie wiedzą, co z sobą począć, komunika może pomóc, przynieść ulgę w biedzie, którą się zawiera sercu Boga.

- Nic nie wiem o sercu Boga, wujku Jakubie.
- Nie musisz wiedzieć. Łaska zawiera się w samym akcie. I może uśmierzyć twoje cierpienie.
- Nie mogę.
- Zrobisz, jak zechcesz. Tak czy inaczej, widzimy się o ósmej.

Czym się teraz zajmie, gdy została sama? Jest niedziela, wpół do szóstej po południu. Ciepło. Słońce grzeje nad kopułą kościoła. Lęk? Ulga? Smutek? Raczej oszołomienie. Nie ma pytań, nie ma odpowiedzi. Rozedrgany, przeszywający niepokój: Zatrzymaj się. Co ja robię? Realność odpływa, rozmywa się, plamy kolorów ulatniają się. Pierzchające cienie. Nie potrafi rozróżnić twarzy Tomasa, ale bardzo wyraźnie widzi matkę. Może powinna do niej zadzwonić? O tej porze siedzi pewnie na niewygodnym białym krześle przy mieniącym się od pelargonii oknie, które wychodzi na rzekę, wrzosowiska i zatopione w popołudniowej mgiełce granie, i czyta „Upsala Nya Tidning”. Drobna, wyprostowana, w okularach zsuniętych na czubek nosa.

Słońce przedziera się przez zieleń kwiatów na parapecie, opromieniając jej jasną twarz, poznaczoną zmarszczkami wokół oczu i bruzdą mądrości u nasady mięsistego nosa. Nie ma na sobie fartucha, jest przecież niedziela, letnią sukienkę z szarej chesuczy zdobią szerokie białe mankiety i kołnierzyk z mereżką. Na podłodze bawi się klockami i lalczkami pięcioletni wnuczek Nils.

A gdyby tak zadzwoniła do Tomasa? Tylko po to, by usłyszeć, jak się miewa, nie wspomniałaby o swo-

jej spowiedzi, nie domagałaby się słów pocieszenia ani żadnych poważnych wyznań. Nie, nie mogę. Telefon wisi na ścianie w przedpokoju u podstarzałego krewnego, u którego Tomas mieszka, a poza tym właśnie zjadł obiad w obskurnej stołówce w towarzystwie dwóch kolegów, którzy zostali w lecie w Uppsali, i wybrał się do Ogrodu Botanicznego. Spaceruje pewnie nad jednym ze stawów z nenufarami, gdzie mieszają się zapachy chińskich róż i stojącej wody. Albo siedzi w cieniu wiązów i przygotowuje się do egzaminu. Anna myśli o jego dłoni spoczywającej na książce, myśli tak intensywnie, że niemal tam jest, jest przy nim. Stoi ze spuszczoną głową, palec na ustach, jakby prosiła o ciszę. Nie, nie Tomas. Nie teraz. Potem też nie. Może już nigdy. Spowiedź oznacza zapewne coś niszczącego, ostatecznego, a w każdym razie coś złowróżbnego, czego woli nie penetrować wyobraźnią. Są takie momenty w jej życiu, kiedy doskonale pojmuje kondycję swojej sytuacji, swojego położenia. Chwyta się oparcia krzesła, doświadczając przez ułamek sekundy chłodu rzeźbionego drewna.

W tej samej, wymownej chwili widzi siebie i Tomasa. Jak na obrazie. Są nadzy i spoceni. Leży w jego ramionach, przytula jego głowę do piersi, otwiera się, czuje pod plecami szorstkość narzuty. W chłodnym pokoju panuje półmrok, piec dogasa, niemrawe śnieżynki wirują na tle czarnych gałęzi parkowych drzew. Chwila zawieszenia, chwila wydarta strachowi, równie niepojęta jak śmierć. Teraz, właśnie teraz, gdy dotyka dłonią rzeźbionego oparcia krzesła, wystrzonymi zmysłami rozpamiętuje półmrok, płątani-



nę spoconych ciał, zapach tytoniowego dymu, chropawość narzuty, namiętne spełnienie, które wciąż w niej wibruje. Wystraszona twarz chłopca, zamyka oczy, zaciska wargi, pojękuje, odwraca głowę, jego dłoń na jej włosach rozsypanych na poplamionej poduszce o ostrych, obrzuconych mereżką kantach. W tej krótkiej chwili uświadamia sobie bezwzględne okrucieństwo miłosnej schadzki. Teraz zdaje sobie sprawę, że niczego nie żałuje. Nikogo nie obarcza winą, nie wciąga w swój mroczny chaos ani Boga, ani wiary. Wie, że głębiej niż teraz już się w sobie nie zanurzy. Sięga tego, co w niej najintymniejsze, najskrytsze. Silne światło rozprasza łagodny zmierzch. Nieraz mówiła, że chce poznać prawdę. Wydawało się jej, że za nią tęskni, że jej łaknie. Nieodparte marzenie. Kto wie, czy nie tożsame z oglądaniem oblicza Boga. Mianowała się apostołem prawdy. Posunęła się nawet do tego, że pouczała innych. Czym zyskała szczególny szacunek. Miewała jednak momenty zwątpienia, pytała wtedy samą siebie: O jakiej ja prawdzie mówię? A potem wstydziała się (acz nie bardzo) tych chwilowych stanów świadomości.

Zegar wybija szóstą, nad wyludnionymi ulicami niesie się dźwięk kościelnych dzwonów obwieszczających mszę. Anna przytomnieje, przytłaczająca chwila minęła. Odwraca się do okna, odchodzi od krzesła.

– Tak, Anno! – mówi głośno. – Nie zadzwonisz do Ma ani do Tomasa. Ale możesz posłuchać muzyki w kościele. To ci dobrze zrobi.

Zdejmuje z półki ładny letni kapelusz i przegląda się w lustrze w mrocznym przedpokoju. Taksuje się

z chłodnym obiektywizmem aktorki. Przebłysk radości rozprasza na moment jej niewątpliwy smutek. Wkłada zakiet, poprawia go przy koronkowym kołnierzyku bluzki. Jeszcze rękawiczki, torebka, zbiór hymnów i w drogę. Schodami w dół, na ulicę, brukowana alejka cmentarza, szybkie kroki w ciemnej wysokiej bramie. Preludium do pierwszego hymnu. Na zielonych ławach niewiele osób. Słoneczne strzały przeszywają ugwieżdżone niebo ogromnej granatowej kopuły. Na cmentarzu pachnące ciepło, a w kościele chłód, zalatuje piwniczną stęchlizną, zwiędłymi kwiatami i starym drewnem. Rozdygotane światło świec na ołtarzu: Szata Matki Boskiej mieni się czerwienią, grzesznica przywiera do stóp krzyża, płacze, nad rozjaśnionym słońcem Jeruzalem wisi czarna burzowa chmura.

Anna zajmuje miejsce i wita się powściągliwie z panią Arborelius, która siedzi przy przejściu w towarzystwie wyrosniętej córki, ubranej w marynarską sukienkę. Na niesfornych rudych lokach marynarska czapka.

Msza toczy się swoim zwykłym rytmem. Głęboki bas wikariusza Arboreliusza niesie się echem pod kopułą, odbija się od płyt nagrobnych kamiennej posadzki.

Chór śpiewa odrobinę surowe motety, obydwu do słów z psalterza: „Prowadź mnie drogą wieczną” i „Wzywaj mię w dzień utrapienia: tedy cię wyrwę, a ty mię uwielbisz”.

\*

Przestronna, dobrze wyposażona kuchnia wychodzi na podwórko, gdzie rosną wiązy, wznoszą się mury i składziki. Przy otwartym oknie wybrzusza się jasnoczerwona zasłotka. W pojemnej spizarce mieści się stara lodówka, wciąż na chodzie. Pod dłuższą ścianą – składany stół, obok niebieskie drewniane krzesła, na ścianach półki, a na nich mnóstwo miedzianych naczyń i najróżniejszych ozdobnych przedmiotów. Pod marmurowymi długimi blatami stoją pokazowe szafki. W kącie, opodal przewodu kominowego, solidny piec z 1909 roku. Ma dwa piekarniki, połyskujący miedzią kocioł do podgrzewania wody, dużo fajerek i cztery otwory nad paleniskiem. Prostopadle do pieca stoi dwupalnikowa kuchenka gazowa. Podłogę, wyłożoną świeżo pociągniętym pokostem linoleum, częściowo przykrywają szmaciane chodniki. Z sufitu zwieszają się dwie lampy, dające ciepłe żółte światło. Naprzeciwko okien są schody, prowadzące do mieszczącej się pół piętra niżej służbówki.

Z podwórka wpada zapach lata, linoleum pachnie pokostem.

Proboszcz siedzi na krześle przy kuchennym stole i nabija fajkę. Jest ósma, jeszcze widno. Słońce operuje nad dachem i kominami kamienicy naprzeciwko. Gdzieś z otwartego okna dobiegają dźwięki muzyki z gramofonu. Poza tym cisza.

Jakub wyjmuje tytoń z woreczka. Pożółkłą od nikotyny opuszkę palca wskazującego znaczą ślady poparzeń. Proboszcz ma na sobie nie wyprasowane flanelowe spodnie i długi rozpinany sweter. Koloratkę zastąpił wysoki kołnierzyk, pod nim połyskuje ciem-

noniebieski krawat. Nieco wyświechtanej kamizelce brak guzika, z rękawów swetra wystają mankiety koszuli, opinając szerokie owłosione nadgarstki.

Siedzi w kuchni, ponieważ pani domu przygotowała naprędce kolację: omlet z cebulką i plasterkami pomidora, serdelki i młode ziemniaki. Anna nalewa wódkę do kieliszków, jest też butelka schłodzonego pilznera. Proboszcz pochwała ten pospiesznie przyrządzony poczęstunek i przepija do Anny.

Tym oto sposobem w tragedii następuje przerwa. Jakub i Anna wcinają w najlepsze, gawędząc uprzejmie o tym i owym.

Anna zdjęła fartuszek. Podawszy kawę, siada na taborecie przy blacie pod oknem. Jakub wrzuca do kawy trzy kostki cukru, miesza, waha się, dobiera czwartą.

– Większość uważa, że Luter zlikwidował spowiedź. Nic podobnego. Wprowadził na jej miejsce coś w rodzaju poufnej rozmowy. Niestety, ów wspaniały reformator nie najlepiej znał się na ludziach. Trudno rozmawiać przy dziennym świetle, twarzą w twarz. Nie ma to jak magiczny półmrok konfesjonału, przyciszone głosy, woń kadzidła.

Proboszcz przygląda się zapalonej fajce i uśmiecha się w zamyśleniu.

– Już cię nie widzę – mówi. – Wieczorne światło rozmywa twoją twarz. Jeśli chcesz, moja droga, możemy kontynuować. A jeśli nie, posiedzimy sobie razem. To równie pożyteczne.

Anna wolałaby jednak porozmawiać.

– Miałam bardzo radosne, harmonijne dzieciń-

stwo. Czasem się zastanawiam, czy to było takie dobre. Być może nabiera się błędnych wyobrażeń o życiu. Z pewnością byłam naiwna. Weźmy choćby moje małżeństwo z Henrykiem. Wiedziałam, jak bardzo jest obolały, ale w swoim bezgranicznym zaufaniu wierzyłam, że uda mi się go zbawić, ba, że jestem do tego powołana. Czy widział kiedyś wujek kogoś głupszego? Mama mnie ostrzegła. Ostrzegła i próbowała powstrzymać, ale się uparłam. Kochałam go w dziecinny, zarozumiały sposób, nie znając ani jego, ani siebie. W ciągu dwóch krótkich lat roztrwoniliśmy, wujku Jakubie, cały kapitał naszej miłości. I którejs nocy uciekłam z Forsbody do Uppsali. Przyjechałam wcześniej rano i płacząc, poprosiłam mamę o pomoc. Była uprzejma i łagodna, ale nieprzejednana. Następnego dnia musiałam wrócić. Tak, nie było to mądre!

Anna uśmiecha się ze smutkiem i patrzy w okno. Słońce zgasło. Brudnożółtą ścianę barwi czerwona poświata. Pod rozłożystymi drzewami dwaj chłopcy z przejęciem majstrują przy rozklekotanym rowerze. Jakaś wysoka kobieta w niebieskoszarej pomiętej sukience otwiera okno. Wychyla się. W głębi mieszkania mającą sylwetki innych kobiet. Rozmowy, śmiechy, na podwórze wylewa się byle jaka melodia grana na pianinie.

– Nie. – Anna jest stanowcza. – Nie mogłam skorzystać z rady wujka. Chciałam wprawdzie przystąpić do komunii, ale się powstrzymałam.

Wychodzą z kuchni. Nie, nie, posprzątam później. Chodźmy do biblioteki. Wujek usiądzie sobie

w wygodnym fotelu i zapali cygaro. Henryk dostał całą skrzynkę cygar od grosisty Gustavssona. Nie bardzo wiem, za co, chyba dlatego, że odwiedził jego matkę staruszkę w Fundacji Erika.

Anna ujmuje Jakuba pod ramię i przemierzają szarawe pokoje, w których zasłonięte prześcieradłami meble połyskują niczym arktyczne formacje. Dwa okna biblioteki wychodzą na cmentarz i Storgatan. Ściany zastawione regałami. Między nimi domowy ołtarzyk, na nim otwarta Biblia, wyżej półmetry drewniany krucyfiks ze „Zbawicielem triumfującym”. Nad dużą skórzaną kanapą wisi obraz olejny, mroczny Holender. Pod kątem prostym do kanapy stoi fisharmonia. Pod oknami – niskie wygodne skórzane fotele. Pośrodku masywny stół biblioteczny.

– Henryk właściwie nie pali cygar, ale uważa, że te od grosisty są wyjątkowo lekkie.

Anna wyjmuje cygaro ze srebrnej szkatułki, podnosi do ucha, toczy w palcach i z uznaniem kiwa głową.

– Tata był namiętym palaczem cygar. Wyborne cygara i wyborne lokomotywy były jego prawdziwą pasją (być może i mamy, choć to nie takie pewne). Kiedy palił, z wielką przyjemnością siadałam mu na kolanach. Wcześniej mnie nauczył, że z cygarami trzeba się obchodzić delikatnie i z szacunkiem.

Otwiera pozłacany nóż o rękojeści z kości słoniowej, przycina cygaro i wręczywszy je Jakubowi, przypala długą zapałką. Jakub głęboko się zaciąga, po czym z upodobaniem przygląda się dymowi.

Anna kładzie ręce na oparciu krzesła stojącego przy stole i patrzy w okno.

– To było tak... jeśli wujek Jakub chce mnie wysłuchać... W bardzo zimny dzień styczniowy byliśmy z Tomaszem sami w jego lichym pokoiku. Zaczęło się zmierzchać. Powiedziałam, że muszę wracać do Sztokholmu i że nie wiadomo, kiedy znów będziemy się mogli spotkać. Stał spokojnie, z dłońmi na moich ramionach. Byłam w palcie, już miałam wychodzić i w tym momencie dokonałam wyboru.

– Dokonałaś wyboru? (Akcent na obydwu słowach.)

– Zdjęłam palto i sukienkę, usiadłam na krześle, ściągnęłam botki, halkę, pas do pończoch, pończochy, wyjęłam szpilki z włosów. W końcu zostałam w samej bieliźnie. Rozbierając się, nie patrzyłam na Tomasa. Teraz spojrzałam. Stał przy biurku. Potrząsnął głową i powiedział: „Nie, nie, tylko nie to”. Tak właśnie powiedział, wujku Jakubie. Ale ja nie miałam już wyboru. Nie mogłam się cofnąć. Wiem, że brzmi to nieco dramatycznie, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy. Chwyciłam go za rękę i przyciągnęłam do siebie. Ukląkł, trzymałam w dłoniach jego głowę. Przytulił się do mnie... Tak się to stało. Czy wujka nie gorszą takie szczegóły?

– Decyzja należy do ciebie.

– No więc przyciągnęłam go do siebie, a później musiałam pocieszyć.

Anna wybucha śmiechem, uderza pięścią w oparcie krzesła.

– Był nieutulony. Był przekonany, że zdradza i mnie, i Henryka, swojego przyjaciela. Uważał, że jest słaby i że postępuje nikczemnie. Powiedział, że Bóg mu tego nie wybaczy. Zachowywał się jak przestraszone dziecko. I znów zaczęliśmy się całować. Był tak samo podniecony jak ja... Nic... nic. Nie. Nic.

Przesuwa dłonią po czole i włosach, jakby chciała z nich zdjąć niewidzialną pajęczynę.

– Myślałam o skrusze. Niczego jednak nie żałuję. Myślałam o grzechu. To tylko słowo. Postawiłam między nami wysoki mur. Ale gdy będę miała cień szansy, by się z nim zobaczyć, zburzę ten mur. Rozmyślałam o Henryku, jego twarz jest zamglona, słyszę, co mówi, a raczej słyszę jedynie jego głos. Wydaje się nierzeczywisty. Sądzę, że powinnam... wiem, że powinnam... nie, to nieprawda. I dzieci. Jestem dla nich miłsza, mam więcej cierpliwości. Jestem też miłsza dla Henryka. Lepiej nam się wiedzie... pod wszelkimi względami. Potrafię być wobec niego czuła i troskliwa, a on poweselał, nie jest już tak drażliwy, uspokoił się. Wszystko zmieniło się na lepsze, odkąd przestałam się bronić przed miłością do Tomasa. Tomasz poweselał, nie ma już tych swoich, jak to sam określa, napadów poczucia winy. Nie możemy się co prawda zbyt często widywać, ale ile razy jestem w Uppsali, u matki...

Anna mówi dużo i długo. Bez śladu lęku. Żadnej bojaźni ani wstydu. Opierając dłonie na krześle, patrzy w mroczniejące za oknem korony cmentarnych drzew.



– Skoro, jak twierdzisz, wszystko układa się tak wspaniale, to dlaczego się rozplakałaś?

– Wujek mnie przyłapał. Prawie całe popołudnie spędziłam z Tomaszem. W pensjonacie. Najpierw odprowadziłam Henryka na dworzec, a potem poszłam do Tomasa. Nie widzieliśmy się przeszło miesiąc, mi-  
nęło chyba sześć tygodni. To było takie poruszające...  
nie przykre, ale właśnie poruszające. Nie miałam po-  
jęcia, że wujek siedzi w cieniu, pod drzewem, nie za-  
uważyłam wujka i kiedy mnie wujek zawołał... to do-  
syć komiczne... przeraziłam się, jakbym została przy-  
łapana... tak, przyłapana! I kiedy sobie spokojnie ga-  
wędziliśmy, miałam uczucie...

Cisza. Długa cisza. Anna w myślach układa sło-  
wa, które nie padły.

– Chyba wiem, co czułaś.

– Wcale nie! – gniewnie odparowuje Anna. –  
Szczerze mówiąc, przestraszyłam się.

– Mnie się przestraszyłaś?

– Przelotne uczucie, trwało nie dłużej niż uła-  
mek sekundy. Jak czarny połyskliwy słup sięgający  
chmur. Potem rozmawialiśmy i nie było w tym nic  
dziwnego, tylko błogość.

– Rozplakałaś się.

– Tak. Zrozumiałam, że będzie mi odebrana  
wszystka radość, że zostanie jedynie cierpienie i...  
wręcz niewyobrażalne pasmo nieszczęść... Uczucie  
równie przelotne jak poprzednie, rozwiało się w kil-  
ka sekund, słyszałam swoje słowa i... napłynęły łzy.  
Nie mogłam...

– Mogłaś podać pierwszy lepszy powód.

– Wpatrując się w dużą dłoń wujka, pomyślałam, że jeśli Bóg ma ręce... w co nie wierzę... ale jeśli on ma ręce, to są one podobne do wujowych. I przypomniał mi się hymn: „Na koniec proszę cię, Boże: Weź moją rękę w swoją dłoń...”

Nagle Annę przeszywa ból, opiera się o stół i siada na niewygodnym stołku przy fisharmonii. Przez dłuższą chwilę milczą, co odnotowuję z myślą o tych, których interesuje przebieg tego rodzaju rozmów.

– Twoje słowa świadczą o tym, że chciałaś się ze mną porozumieć, chociaż nie przypuszczałaś, że potrafisz.

– Chyba tak. – Głos Anny brzmi jasno i czysto, jak głos małej dziewczynki. – Czy nie jest tak, że po wielkiej, przeogromnej radości zawsze przychodzi ciemność, cierpienie, strach. Doświadczylam bólu przyczajonego w cieniu radości. Jeśli Tomasa nie zesłał mi Bóg, daleko mi do Boga. I dobrze. Wiem, co wujek teraz o mnie myśli. Że potwornie bluźnię.

– Nie tobie decydować o moich myślach! Pamiętam cię z zajęć przedkonfirmacyjnych. Zawsze byłaś przygotowana, zawsze zadawałaś dociekliwe pytania. I przyjaźniłaś się z kolegami. Wiedziałem, że pochodzisz z dobrego, pełnego czułości domu. Znałem twoich rodziców, zwłaszcza matkę. Zastanawiałem się, co cię w życiu czeka.

Jakub pochyla się, bierze gasnące cygaro, zapala. W półmroku unosi się aromatyczny dym. Anna przygląda się swoim dłoniom. Gest zniecierpliwienia.

– Ach, to miłe ciepélko. Nawet w szkole, w szkole pielęgniarskiej. Napatrzyłam się na cierpienie...

cierpienie dzieci... Nie zagrażało ono jednak poczuciu mojego bezpieczeństwa. Albo te długie lata z Henrykiem... dwanaście lat... trudne, wyczerpujące... Choć nie tak to sobie wyobrażałam, czułam się bezpiecznie. Trädgårdsgatan. Mama i tata. Brat. Zawsze byli. Byłam zanurzona w bezpiecznym cieple.

Milczenie.

– Czy mam sobie pójść?

– Nie, niech wujek jeszcze trochę zostanie. Ale nie mam już nic więcej do dodania.

– Czemu mi o tym opowiedziałaś, Anno?

– Jak się dobrze zastanowić...

Gdy tak o wszystkim sobie pomyślę,

czuję, że żyjemy w zagrożeniu.

Że jestem coraz bardziej przytłoczona.

Dzieci, Henryk, Tomas i ja...

balansujemy na krawędzi katastrofy.

Życiowej katastrofy.

Czy nie tak się to nazywa?

Życiowa katastrofa.

Albo nie zrobię nic, albo... nie, to niemożliwe. Czy istnieje wybawienie? Najbardziej przeraża mnie co innego. Czy ja w ogóle chcę jakiegoś wybawienia? I od razu myślę o dzieciach, i tak mi ciężko, że natychmiast odsuwam te myśli, są nie do zniesienia. Zbiera mi się na płacz. Nie, nie tylko z egoizmu. Z bólu, dojmującego bólu. Bo o Henryku można powiedzieć wszystko z jednym wyjątkiem: Jest dobry dla dzieci. Może nieco za surowy, zwłaszcza wobec chłopców... I ja miałabym mu odebrać dzieci. To nie byłoby sprawiedliwe. A odmierzająca czas machina

piekielna tyka nieubłagane... niekiedy słyszę ją bardzo wyraźnie... i boję się. Boję się i tęsknię...

Anna patrzy proboszczowi prosto w oczy i niemal radośnie się uśmiecha.

- Tak to jest, wujku Jakubie. Z nikim innym o tym nie rozmawiałam. Chociaż parę osób pewnie się czegoś domyśla. Może Gertruda. Widziała mnie z Tomaszem. I Märta. Raz przestrzegła mnie na osobności przed różnymi rzeczami, ale nigdy nie mówiłyśmy ze sobą otwarcie. Märta jest teraz gdzieś na drugiej półkuli, pracuje jako misjonarka i lekarz. Gertruda chyba się trochę podkochiwała w Tomaszem, nigdy jednak ani słowem o tym nie wspomniała. Więc wujek Jakub już wie! Nie do końca rozumiem, na co właściwie liczyłam. Może na dobrą radę. Że wujek znajdzie jakieś wyjście. Albo da mi rozgrzeszenie.

Jakub przygląda się zarówno cygara, trawiącemu cienkie liście tytoniu. Wkrótce się dopali.

- Jeżeli domagasz się współczucia, powiem ci tylko tyle, że współczuję. Ale rozgrzeszenia nie dostaniesz, ponieważ nie sądzę, byś odczuwała skruchę. A co do rady, mogę ci coś zaproponować, pod warunkiem że potraktujesz moje słowa poważnie. Nie chodzi mi o ślepe posłuszeństwo, wiedz jednak, że mówię wszystko w najlepszej wierze.

- Rozumiem.

- To, co powiem, z pewnością cię oburzy. Będzie ci przykro i będziesz zła.

- Może wdzięczna?

- Wątpię. A więc przede wszystkim musisz zerwać ze swoim przyjacielem. Nawet jeśli doznajesz

pełnego zaspokojenia uczuć, musisz ten związek zakończyć. Tomas dopuszcza się poważnego wykroczenia, które może go okaleczyć na całe życie. Jeśli jego postępek wyjdzie na jaw, kto wie, czy raz na zawsze nie zaprzepaści swojej przyszłości. Mówisz, że go kochasz. Wierzę ci. Miłość kogoś takiego jak ty, to wspaniały dar. Nie odmawiam ci prawa do kochania Tomasa. Takie żądanie byłoby niedorzeczne. Radzę ci zerwać wszelkie kontakty. Okażesz mu w ten sposób swoją miłość.

Anna wpatruje się w proboszcza. Na suficie tańczą refleksy ulicznych latarni. Mogą już rozróżnić swoje twarze. Jakub czeka, aż Anna coś powie. Ale Anna milczy.

– A poza tym musisz wszystko wyznać Henrykowi.

– Nie mogę.

– Musisz.

– Nie, nie mogę, tylko nie to.

– Musisz.

– Czemu to miałoby służyć? Nie, niemożliwe.

– Prawdzie, Anno! Uwikłałaś się w kłamstwa. Im dłużej będziesz żyć w kłamstwie, tym uboższe będzie twoje życie.

– Wujku Jakubie, Henryk ledwie sobie radzi z codziennymi problemami. Jest przeczulony i wylęknięty, przeciążony pracą. Prawda by go załamała. Nasze małżeństwo nie jest najlepsze, pod wieloma względami nieudane, i duchowo, i cieleśnie, łączy nas jednak pewien rodzaj koleżeństwa. I to nam pomaga. Od dwunastu lat. Koleżeństwo i dzieci. Gdybym wyjawi-

ła całą prawdę, rozpętałoby się prawdziwe piekło. Nie, wujku Jakubie. Nie.

– Nie rozumiesz, że ukrywanie prawdy to przejaw wyjątkowego egoizmu? Nie można przecież wykluczyć, że dzięki tej prawdzie Henryk dojrzeje? Pozna smak lepszego życia?

– Lepszego życia?! Henryk?! To nie ten typ człowieka. Henryk, jeśli tylko może, ucieka. Wycofuje się. Zbity z tropu, rozsierdzi się albo rozchoruje. Zginie. Taka jest prawda. Wiem, jest zdolnym księdzem, troskliwym duszpasterzem, pomaga wielu ludziom. Ale postawiony w takiej sytuacji, zachowa się jak żaloszny, śmiertelnie przerażony biedak. Nie mogę powiedzieć prawdy. Czy wujek wie, jak to między nami jest? To znaczy, jak wygląda nasze, pożałuj Boże, pożycie? Czasami mam ochotę wyć z obrzydzenia i poniżenia. Najważniejsze jest jednak to, że udaje nam się jakoś żyć z dnia na dzień. Nie mogę powiedzieć Henrykowi o swoim intymnym związku. Nie jestem nawet w stanie przewidzieć jego reakcji... Może by... I wina... wina...

– Rozumiem, doskonale cię rozumiem. Mimo to uważam, że prawda jest jedynym wyjściem. A co będzie, jeśli nieoczekiwanie wyjdzie na jaw? Musisz zapobiec temu upokarzającemu odkryciu.

– A kto mi pomoże, kiedy rozpęta się piekło? Mam się zwrócić do Boga? A może do wujka Jakuba? Albo do matki? Co zrobię, jeśli Henryk wyrzuci mnie na ulicę? Pójdę do Tomasa (śmieje się) i poproszę, żeby się zaopiekował mną i dziećmi? Nie. Nigdy nie powiem tego, czego wujek ode mnie żąda. Nie wierzę

w taką szczerłość. Okupuję swoje codzienne życie kłamstwami i oszustwami. Jest tego warte. Sama będę dźwigać mój grzech i do nikogo się nie zwrócę po pomoc. Ani do Boga, ani do wujka.

– Mówisz o grzechu, jakbyś wiedziała, czym on rzeczywiście jest. A nie wiesz. Tak, moje słowa mogą cię ranić, sprawiać ból. Możliwe, że będziesz musiała wystawić siebie i najbliższych na ciężką próbę. Ale tylko prawda da ci siłę.

Anna uśmiecha się pod nosem.

– Tak – mówi. – Tak, tak. Naturalnie. Jeśli pójdziesz drogą prawdy, będziesz silny. Jeśli wybierzesz prawdę, rozwiązesz nierozwiązywalne problemy.

– Na mnie już czas, Aniu. Rozumiem twój sprzeciw. Nie wymagam, żebyś myślała tak jak ja. Nawet nie pamiętam, czy mnie prosiłaś o radę. Powiedziałem tylko to, co mi przyszło do głowy.

– Czy to takie dziwne, że się bronię?

– Złość się, bardzo proszę. Oceniam wszystko z perspektywy swojej uporządkowanej rzeczywistości. Moje kryzysy i rozterki są oczywiście zupełnie odmienne. Ale zastanów się. Jesteś mądrą dziewczyną. Przypuszczam, że powiedziałem ci coś, co od dawna w tobie było. W twojej świadomości. Żywe i realne.

– Dlatego wiem...

– Nie myśl przez chwilę o tym, co według ciebie Henryk może, a czego nie może.

– Dziękuję wujkowi za troskę.

– Pomodłę się za ciebie wieczorem.

Anna spuszcza głowę. Stoją w dużym mrocznym przedpokoju. Jakub z dłonią na kłamce.

---

– Zapal światło. Chciałbym zobaczyć twoją twarz.

Anna przekręca kontakt. Po obu stronach drzwi zapalają się senne żarówki w mosiężnych kinkietach.

– Spójrz mi w oczy. Tak. Jesteś zła.

– Nie.

– Jesteś. Zła i rozczarowana. Czego się spodziewałaś?

– Nie wiem. Chciałabym tylko...

– Gramy wiele ról. Dla zabawy, żeby sprostać oczekiwaniom innych ludzi, ale najczęściej po to, by się ukryć.

– Tak, chyba tak.

– I w ten sposób niepostrzeżenie umyka nam to, co nie jest rolą. Rok za rokiem oddalamy się od samych siebie, czy jak to określić...

– A ja mogłabym powiedzieć, że właśnie teraz narazie jestem sobą. To życie z Henrykiem coraz bardziej przymusza mnie do gry.

Anna patrzy na Jakuba z obawą. Nie odwzajemnia jej spojrzenia, pospiesznie głaszcze ją po policzku i kręci głową.

– Pamiętam, co mówiłaś przed konfirmacją. „Proszę Boga o to, bym była pożyteczna. Jestem bardzo silna”. Pamiętasz?

– Tak. Wiem. To było dziecinne. Ale byłam wtedy dziecinna.

– I teraz Bóg cię wysłuchał.

– Nie.

– Nie wierzysz, że Bóg pochyła się nad twoim strapieniem?

– Nie.



- Nie ma już w tobie wiary.
- Nie ma.
- Nie modlisz się?
- Nie.
- A co na to Tomas?
- Moje odwrócenie, jak mawia, przeraża go. Czy wujek Jakub wierzy w Boga? Ojca w niebie. Boga miłości. Boga, który ma dłonie, serce i czujne oko?
- Nie ma to dla mnie znaczenia.
- Nie ma znaczenia? Postać Boga nie ma znaczenia?!

- Nie mów „Bóg”, powiedz „świętość”. Świętość człowieka. Cała reszta to atrybuty, przebrania, gesty, desperacja, rytuały, krzyk rozpaczony w ciemności i ciszy. Świętość człowieka jest nieuchwytna, a jednocześnie w pełni konkretna, można się jej trzymać. Aż do śmierci. To, co dzieje się później, pozostaje w ukryciu. Ale jedno jest pewne: Podlegamy bezustannemu wpływowi zdarzeń, których nie jesteśmy w stanie doświadczyć naszymi zmysłami. Jedynie poeci, muzycy i święci podsuwają nam lustra Niepojętego. Oni widzą, wiedzą, rozumieją. Nie wszystko. Okruchy. Czuję się pokrzepiony na myśl o świętości człowieka i owych mocach tajemnych, które nas otaczają. W świętości człowieka zapisana jest prawda. To nie żadna metafora, to realność. Nie można zadać gwałtu prawdzie, nie ponosząc strat. Nie raniąc.

Siedzą na krzesłach przy drzwiach przedpokoju. Żarówki kinkietów usługują ospale. Za otwartym oknem jadalni noc.

## Rozmowa druga

*sierpień 1925*

Minął miesiąc. Jest pogodny sierpień, w pół do dziewiątej wieczorem. Henryk siedzi na przystani. Niskie chmury, od czasu do czasu siąpi deszczyk. Siwy zmierzch. Bez cieni. Lato jeszcze się nie skończyło.

Jest sam na przystani. Pali cygaretkę, raczej ze względu na komary niż dla przyjemności. Goła głowa. Jasne włosy mocno przerzedzone, wysokie czoło. Zadbane wąsy i błękitne przyjazne spojrzenie. Pod płaszczem przeciwdeszczowym letnia marynarka, flanelowe spodnie, kołnierzyk, krawat.

Po drugiej stronie zatoki, koło przystani Stendörren, dostrzega statek, który zwróciwszy dziób ku Smådalarö, płynie przed siebie z niezłą szybkością. Z głuchym łoskotem opada trap. Anna stoi z przodu, bierze bagaż i spieszy na ląd. Trap natychmiast zostaje wciągnięty. Na statku rozbrzmiewa dzwonek i już śruba okrętowa tnie ciemne lustro wody. Po chwili statek nabiera prędkości i znika za Rödudd. W kilku kajutowych bulajach pali się światło.

Henryk bierze walizkę i kosz Anny, wyładowany torbami i paczkami. Całuje żonę w usta. Anna staje

na palcach i cmoka Henryka w policzek. Jest świeżo ogolony.

Nadeszła chwila, bym 18 czerwca 1992 roku, siedząc przy biurku w Fårö, przyjrzał się bliżej tym dwojgu, którzy pewnego sierpniowego wieczoru roku 1925 idą kamienistym zboczem z przystani Smådalarö. W każdym razie spróbuję. Nie bardzo znam powód tych wysiłków, ale mimo to mknę za nimi z zawrotną szybkością. Już ich widzę.

Dziesięć minut drogi od przystani stoi dom letni z przełomu wieków. Tylna weranda wychodzi na zachodzące słońce i wąską zwirową alejkę. W żółtym domu o białych węglach są cztery pokoje i ciasna staroświecka kuchnia. Jadalnia sąsiaduje z frontową przeszkloną werandą, z której widać zielony stok, zatokę i Pannholmen. Na poddaszu mieszczą się dwa pokoiki, jeden od północy, drugi od południa. Sielanki dopełnia zielona wygódka na wzgórzu. U węgła domu wznosi się kilkusetletni dąb, dorodny i cienisty. Z tego właśnie powodu domostwo przyjęło nazwę Dębiska.

Zbocze, po którym idą, jest kamieniste, pełne wyboi. Nieruchomo stoją wysokie sosny. Mży. Ale ze mnie głupiec, nie zabrałem parasola, mityguje się Henryk, stawia walizkę na ziemi i głęboko oddycha. Anna mija go, zatrzymuje się i odwraca: W mieście było pogodnie, nawet nie pomyślałam o parasolce. Pomogę ci nieść walizkę.

I taszcza ją razem, co dosyć uciążliwe, ponieważ Anna jest dużo niższa od męża.

– Będzie wygodniej, jeśli poniosę sam – mówi Henryk.

- Wobec tego ja wezmę kosz.
- Nie, nie, jest mi potrzebny. Dla równowagi.
- Aha.

Anna ze śmiechem zdejmuje kapelusz, deszcz pada teraz na jej twarz i gęste ciemne włosy. Ma na sobie granatowy płaszcz, szarą spódnicę i jedwabną bluzkę zapinaną na małe guziczki.

- Miły deszczyk – mówi, wycierając wierzchem dłoni czoło i policzki.

- Od trzech tygodni nie spadła ani jedna kropla. Ale przecież o tym wiesz. Czy w Dalarnie też była taka susza?

- Baliśmy się, że wyschnie źródelko. No, w najgorszym wypadku zostałyby rzeka.

- Bardzo oszczędnie używamy wody. Tylko do przygotowywania posiłków i do rozcieńczania soków. Myjemy się w jeziorze.

- À propos mycia... Chłopcy serdecznie cię pozdrawiają... małeństwo oczywiście też. Dałyśmy im z mamą pełną swobodę. Znikają zaraz po śniadaniu i całymi dniami bawią się z kolegami we wsi. Przychodzą dopiero na kolację. Nie karcimy ich za późne powroty ani za awersję do mycia. W soboty odbywa się szorowanie uszu i obcinanie paznokci. Wszyscy są zdrowi. Małeństwo skaleczyło się w pupę wyszczerbionym nocnikiem, trochę krwawiła, chłopcy są podrapani, ale to przecież normalne.

Anna mówi dalej, trochę pomaga mężowi nieść kosz. Henryk słucha, zadowolony.

- A jak się miewa ciocia Karin?
- A, mama!

Anna przystaje na szczycie stoku, Henryk stawia walizkę i kosz, ciężki od toreb i paczek ze sklepu kolonialnego Gustavssona.

– Tak, mama. Mama i Ebba. Od śmierci Ernesta minęły równo trzy miesiące. Mama bardzo cierpi, to widać, a Ebba ciągle popłakuje. Czasami słyszę w nocy jej pojękiwania. Ale obie są spokojne i pogodne. Jaś, jak wiesz, skończył trzy latka i urządziłyśmy mu wspaniałe urodziny... Trudno mi się porozumieć z Ebba. Obie próbujemy, ale bez powodzenia. Inne są nasze smutki, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ernest. Starszy brat. Wierzyć się nie chce.

Ruch ręką i Anna wędruje przed siebie. Henryk idzie parę kroków za nią.

– Kiedy przyjedzie maleństwo i chłopcy? Czy coś ustaliliście?

– Pod koniec przyszłego tygodnia mama będzie w Sztokholmie i przywiezie dzieci. Zdażymy wyprawić małej urodziny przed przenosinami do miasta.

– Nie spędzimy więc zbyt dużo czasu razem.

– Uzgodniliśmy, że wyjeżdżamy piątego września.

– Tak, tak. Piątego, we wtorek.

– Przecież się zgodziłeś.

– Tak, wiem.

– Będziemy razem blisko trzy tygodnie. To chyba nie najgorzej, co, Henryku?

– Pierwszego września odprawiam mszę u Świętej Jadwigi.

– Masz zdrowe, opalone, radosne dzieci! Pamię-

tasz, co powiedział wiosną doktor Fürstenberg? Że muszą pooddychać leśnym powietrzem.

– Tak, oczywiście.

– Powinniśmy być wdzięczni mamie, że mimo żałoby i najróżniejszych kłopotów przez całe lato się nimi zajmuje.

– Tak, oczywiście. Jasna sprawa.

– Powinniśmy być wdzięczni.

– Jestem wdzięczny!

Spotykają na wieczornym spacerze profesora Ruthströma z żoną Adelajdą. Ich czarny drewniany dwór wznosi się w połowie drogi prowadzącej do Dębiska. Profesor, wykładowca gry na skrzypcach w Akademii Muzycznej, raczej wirtuoz niż pedagog, jest schludnym, niskim i tęgim mężczyzną o niesfornych siwo-rudych włosach. Pani Adelajda, podobnie jak małżonek niewysoka, gruba i rudowłosa, pochodzi z Meklemburgii i była niegdyś wybitnym sopranem dramatycznym. Oboje mają jasną karnację, ich twarze znaczą plamy wątrobiane, a głowy wydają się osadzone bezpośrednio na ramionach.

Pastor i profesor witają się uprzejmie i w stosownej kolejności wymieniają się uwagami na temat swojego zdrowia. Na pytanie pani Adelajdy, zainteresowanej terminem powrotu chłopców z Dalarny, Anna odpowiada, że przyjadą w przyszłym tygodniu i że Dag marzy o wspólnym żeglowaniu z Siegfridem. Profesor, składając parasol, oznajmia, że deszcz ustał, zanim na dobre zaczął padać, pastor zaś informuje, że słyszał odległe grzmoty, a nad zatoką widział błyskawice. Następnie życzą sobie dobrej nocy i roz-

---

chodzą się. Henryk mówi, że na początku sezonu profesor Ruthström będzie grał *Koncert skrzypcowy* Głazunowa i profesorowa obiecała im darmowe bilety. Profesor ćwiczy teraz cztery godziny dziennie, przy otwartym oknie, co jest odrobinę denerwujące. To przemili ludzie, replikuje Anna. Tylko te ich polityczne poglądy... te do znudzenia wygłaszane kazania o wielkości i upadku Niemiec. Czysty obłęd.

Są pod domem. Wchodzą do środka od strony tylnej werandy. W przedpokoju Anna zdejmuje płaszcz i rzuca kapelusz na półkę, a Henryk wnosi walizkę do jej sypialni, połączonej z jego sypialnią i gabinetem wąskimi rozsuwanymi drzwiami.

– Chyba się wykąpię w jeziorze.

– Będę ci towarzyszył, żebyś nie utonęła.

– Za chwilę będę gotowa – mówi Anna i wyrzuca Henryka z pokoju.

Henryk, nagle niespokojny, niemal wylęknięty, zapala lampę naftową na kredensie w jadalni i siada na jednym ze skrzypiących wiklinowych krzeseł w przeszklonej werandzie.

Anna szybko przechodzi przez jadalnię: Nie wiem, czy zostawimy zapaloną lampę. Jeśli tak, trzeba zamknąć okno, żeby nie naleciało komarów i innego paskudztwa. Ma na sobie czarny kostium kąpielowy i znoszony bordowy szlafrok. Chodźmy, mówi, uśmiechając się lekko, po czym zzuwa sandały i biegnie nad połyskliwie czarną wodę. Henryk splata dłonie na plecach i wolno rusza za nią.

Anna skacze głową naprzód, chustka, którą obwiązała włosy, natychmiast się zsuwa i unosi na wo-

dzie. Jest bardzo ciepło! – woła. Henryk sadowi się na odwróconej pustej skrzyni. Anna podpływa do kładki i wychodzi. Szybko narzuca luźny szlafrok i stojąc plecami do Henryka, ściąga mokry kostium. Potem siada obok męża, wyciera stopy szorstkim ręcznikiem, wkłada sandały i przeczesuje dłońmi gęste lśniąca włosy. Chodźmy, Henryku, dobrze nam zrobi filiżanka herbaty i kanapka, mówi, biorąc go za rękę.

Henryk mocno ujmuje ją za biodra i przyciąga do siebie. Wtulony w jej brzuch, rozsuwa głową poły luźno związanego szlafroka. I całuje. Brzuch, biodra. Anna uwalnia się, nie zanadto gwałtownie, acz stanowczo. Henryk wstaje, obejmuje ją, całuje jej wilgotną twarz, szyję, usta. Nie, nie tak, sprzeciwia się Anna. Nie ściskaj mnie tak mocno. Chodźmy do kuchni. Napijemy się herbaty. Zaczynam marznąć. Chodźmy, Henryku, powtarza łagodnie i wyciąga do niego rękę.

Zbliża się jedenasta, znów zaczęło padać, spokojnie, uporczywie. Anna ma na sobie jasnoniebieską flanelową koszulę nocną i białe skarpety. Owinęta od pasa w dół pledem, wolno popija herbatę. Henryk siedzi naprzeciwko niej i dla towarzystwa sączy pilznera. Na stole cicho skwierczy leciwa lampa naftowa. Milczą.

Wreszcie Henryk podnosi się. Staje przed Anną.

– Minęły cztery długie tygodnie. Tęskniłem za tobą. Za dziećmi też, ale najbardziej za tobą. Nie narzekam, narzekanie byłoby czymś niegodziwym i nie na miejscu. Tak, nie mogę się uskarżać na brak opieki.



Nie byłem przecież sam. Dotrzymywała mi towarzysztwa Gertruda i Per Hasselroth, Einar z narzeczoną i wielu innych miłych ludzi. Nie mam więc powodu do narzekań. Byłaby to czysta niewdzięczność i przejaw rozpieszczenia. Pisałaś do mnie czułe, pełne oddania listy. Bardzo mi pomagały. Czytałem je wieczorami, w łóżku. No i rozmawialiśmy przez telefon. To wprawdzie dosyć bezosobowe, ale odczuwałem dużą przyjemność, słysząc twój głos. I nareszcie jesteś. Liczyłem dni, niespokojny, że coś ci stanie na przeszkodzie i nie przyjedziesz. Ale jesteś. I najbardziej cieszy mnie to, że przez kilka dni będziemy sami.

Anna przesuwa palec po wzorze obrusa.

– Dzisiaj nie chcę – mówi pospiesznie.

Henryk stoi w milczeniu.

– Anno...

– Nie, Henryku. Nie.

– Co się stało?

– Nic się nie stało, zupełnie nic. Po prostu chciałabym, żebyś zostawił mnie w spokoju.

– Czy nie miałaś go dostatecznie dużo?

– Muszę się przyzwycząić. Nie możesz mi stawiać takich żądań.

– Cóż to za dziwaczne słowa. Niczego nie żądam.

– Ale ja nie chcę.

Anna kręci głową, wstaje i pochodzi z filiżanką do zlewu. Henryk obejmuje ją i mocno przytula. Filiżanka spada na podłogę, rozbija się. Anna sztywnieje. Odraza i gniew. Uwalnia się z objęć męża, już nie tak łagodnie jak poprzednio, nie próbuje się nawet usprawiedliwiać. Na moment odwraca się w jego stro-

nę, jakby chciała coś powiedzieć. Błada, zadyszana. Henryk jest zdumiony i przerażony.

– Czy zrobiłem coś nie tak? Co ci jest, Anno? Chyba możesz...

Anna oddała się, chwilę stoi w przedpokoju, zastanawia się, czy nie wyjść z domu, na deszcz, ale w tym stroju? Spieszy do sypialni, jakby ją ktoś gonił, i zamyka drzwi na klucz. Na klucz.

Henryk jest zmieszany, osowiały, nadąsany, rozgoryczony, narasta w nim złość. Pożądanie opuszcza wszystkie zakamarki jego ciała, pozostawiając po sobie pustkę, którą natychmiast zaczyna wypełniać urażona, bolesna wściekłość.

Idzie na werandę, skąd przygląda się szeleszczącym, szemrzącym ciemnościom. Lampa na kredensie w jadalni słabym blaskiem oświetla jego sylwetkę w oknie. Strach, gniew, przygnębienie.

Wkrótce strach bierze górę i żeby go co prędzej stłumić, Henryk pędzi do swojej sypialni i puka w wąskie rozsuwane drzwi. Żadnej odpowiedzi. Cisza. Puka jeszcze raz, delikatnie. I nic. Łagodnie, z wyczuwalnym lękiem w głosie, mówi: Wybacz mi, Anno, zachowałem się głupio i niezdarnie. Anno, kochanie, odpowiedz mi, proszę.

Anna bezszelestnie krąży po pokoju. Chodzi wzdłuż krawędzi chodnika, tam i z powrotem, głowa wysunięta, ręce skrzyżowane na piersiach, głowa opuszczona, błądzi spojrzeniem po deskach podłogi. Oddycha głęboko, jakby brakowało jej tlenu, jakby unosiła się nad Ziemią w rozrzedzonym powietrzu, hen, pod smolistym niebem. Zatrzymuje się, zrzuca

kapcie, stoi bez ruchu... słucha cichej prośby Henryka dobiegającej zza drzwi. Lśniaca mosiężna klamka opada i podnosi się, ostrożnie, z bojaźnią.

Henryk kopie w drzwi. Strach i wściekłość. Wali pięścią i krzyczy: Nie możesz mnie tak traktować! Anno! Przynajmniej mi odpowiedz!

Milczenie. Anna opuszcza głowę. Długie ciemne włosy zsuwają się na policzki.

Henryk: Już się uspokoiłem. Musimy porozmawiać. Nie ustąpię. Poczekam na ciebie na werandzie. Będę czekał aż do skutku. Aż do skutku, słyszysz, Anno?! Słyszysz, co mówię? Chcę, żebyś do mnie przyszła i powiedziała, co ci się nie podoba.

Henryk puszcza klamkę. Odchodzi. Anna słyszy go na werandzie: Przesuwa krzesło, siada, zapala fajkę. Słyszy wszystko, stojąc nieporuszenie na pasiastym, czarno-niebieskim szmacianym chodniku.

Często się mówi o tak zwanym momencie przełomowym. Zwłaszcza dramatopisarze żywią się tą fikcją. Prawda zaś jest przypuszczalnie taka, że momenty przełomowe w rzeczywistości nie istnieją. „Moment przełomowy” i „decyzja brzemienna w skutki” – to brzmi wiarygodnie. Ale gdy się dobrze przyrzec, moment wcale nie jest przełomowy. Od dłuższego bowiem czasu myśli i uczucia świadomie lub nieświadomie ku niemu zmierzały, dlatego też samo jego pojawienie się wynika z głębokiej przeszłości, z przepastnych mroków.

Anna ożywia się. W ciemnościach, w gniewie, w hamowanych emocjach jest coraz bliższa tego, by odmienić życie wielu osób. Rozsypująca się rzeczywi-

stość rodzi na obrzeżach świadomości nieodpartą pokusę: A niech to wszystko runie. Niech szcześnie. Nareszcie będzie koniec. Otwiera drzwi i przechodząc przez jadalnię, zabiera z kredensu lampę naftową, którą stawia ostrożnie na okrągłym wiklinowym stole, pod krótszą ścianą werandy. Podkręca knot. Tak, teraz będą wyraźnie widzieć swoje twarze.

Henryk zaczyna od usprawiedliwienia: Przepraszam, zachowałem się jak dziecko, ale się wystraszyłem. Chociaż nieraz się kłóciliśmy, nigdy nie zamykaliśmy przed sobą drzwi.

Anna przysuwa biały wiklinowy fotelik – dosyć staroświecki, o spadzistych poręczach, nieco już sfałgowany – i siada naprzeciwko Henryka.

– Powiem coś, co cię zabolii.

– Zaczynam się poważnie niepokoić.

Henryk uśmiecha się rozbrajająco.

– Chodzi o to, że od pewnego czasu żyję z innym mężczyzną.

– Chcesz powiedzieć...

– Którego kocham.

– Którego kochasz...

– Którego kocham bardziej niż kogokolwiek innego. Jestem mu całkowicie oddana... ciałem... wszystkimi zmysłami, sercem.

– Czy to prawda?

– To prawda, Henryku. Wahałam się, nie byłam pewna, czy powinnam ci o tym powiedzieć. Ale dzisiaj, kiedy miałeś na mnie ochotę, nie mogłam dłużej udawać. Byłam z Tomaszem cały dzień. Przyjechałam prosto od niego.

- 
- Z Tomaszem?
  - Już nie chcę. Nie mogę.
  - Tomas?
  - Znasz go.
  - Tomas Egerman?
  - Tak, Tomas Egerman.
  - On przecież... on przecież studiuje...
  - Przygotowuje się do egzaminów w Uppsali. Za dwa lata kończy studia. Dokładnie za dwa i pół roku.
  - Ale na wieczorku parafialnym śpiewał pieśni Schumanna?
  - Tak, bo zaczynał od studiów muzycznych. Zrobił dyplom nauczyciela muzyki w akademii. Dlatego z opóźnieniem rozpoczął nauki teologiczne.
  - Twarz Henryka jest nieprzenikniona, nie odrywa wzroku od Anny. Anna odwraca głowę.
  - Właściwie nie mam już nic więcej do powiedzenia.
  - A jak sobie wyobrażałaś... przyszłość?
  - Nie wiem.
  - Anna ma łzy w oczach, pohamowuje złość. Henryk lekko się uśmiecha.
  - Dlaczego płaczesz?
  - Nie płaczę. Ale kiedy mnie pytasz o przyszłość, wzbiera we mnie gniew. Sama nie wiem, czemu.
  - Usiłuję ze spokojem i...
  - Byliśmy sobie coraz bardziej obcy, Henryku, coraz gorzej się rozumieliśmy. Nie byłam sobą, dusiłam się.
  - A z Tomaszem jesteś wolna, tak?
-

- Nie myślę o tym.
- Anno?
- Słucham.
- Czego najbardziej pragniesz?
- Pytasz poważnie?
- Poważnie.

W głosie Henryka pobrzmiewa łagodność, patrzy na nią bez złości, ciepło. Anna jest zmieszana, pełna niepokoju. Nie potrafi zapanować nad sprzecznymi emocjami.

- Nie wiem, czego pragnę. Może prowadzić nasz dom i, co oczywiste, wychowywać dzieci. Zabawne... ale wszystko inne wydaje mi się nie do pomyślenia. Mogę zostać z tobą, pomagać ci w pracy, wspierać.

- A Tomas?

- Z Tomaszem nie ma przyszłości. Z czasem się odnajdzie, ożeni z osobą w jego wieku, kimś, kto będzie dobrą żoną i matką. Daj mi odrobinę wolności. Pozwól mi być z Tomaszem. Na krótko.

- Na krótko, to znaczy?

- Nie wiem. Pytałeś, jak sobie wyobrażam nasze życie. Próbuję ci odpowiedzieć.

- A co będzie ze mną? Czy uważasz, że na tę bliżej nieokreśloną przyszłość powinienem sobie znaleźć jakąś panią?

- Tylko bez ironii.

- Przepraszam.

Milczenie.

- Jeśli będziesz chciał, jeśli tego zażadasz, wszystko ci zostawię, dom, dzieci... wszystko.

– Dzieci też?

– Tak, dzieci też. Jedno nie ulega wątpliwości: Zawsze byłeś dla nich dobry i czuły. Czasami za bardzo surowy wobec chłopców, ale beze mnie może będzie im lepiej, nie będą świadkami naszych problemów. Do tej pory ich do nich nie mieszaliśmy.

– Biedna!

– Naprawdę?

– Biedna jesteś. Ciężko ci.

– Tak, ciężko. Chwilami proszę Boga o chorobę, żebym trafiła do szpitala, żeby się uwolnić od grzechu... od winy...

Henryk pochyla się i ujmuje jej dłoń. Jest poważny, czuły.

– Czy nie wydaje ci się, że jest jakiś sens w tym, co nas spotyka i co sprawia tak dojmujący ból?

Anna widzi twarz Henryka tuż obok swojej, słucha jego słów. Nie jest już obcy, jest łagodny, niemal wzniosły.

– Tyle razy chciałam ci powiedzieć... Mimo wszystko jesteś przecież moim najlepszym przyjacielem. Tylko z tobą mogłam zawsze porozmawiać i dlatego udawanie, granie tej roli wydawało mi się czymś nierzeczywistym. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak, rozumiem.

– Chciałam ci powiedzieć, żebyśmy wspólnie... ale kiedy pomyślałam, ile masz pracy i jaka spoczywa na tobie odpowiedzialność, wszyscy ci ludzie... Dozłam do wniosku, że nie zniesiesz mojej prawdy i że wciąganie cię w moje sprawy, z którymi sama muszę się uporać, byłoby czystym okrucieństwem. I tak mi-

jały dni. Od czasu do czasu zupełnie nieoczekiwanie nachodziła mnie myśl: Niech się dzieje, co chce, teraz mu powiem! Ale widziałam, jak bardzo jesteś zmęczony i przybity, jak straszliwie się denerwujesz przed kazaniem, mówiłeś mi o swoich lękach, że się do niczego nie nadajesz... więc milczałam. I w miarę upływu czasu było mi coraz trudniej.

– Czy ktoś o tym wie?

– Nie.

– A twoja matka?

– Myślisz, że odważyłabym się rozmawiać z Ma?

Wykluczone.

– A z kimś innym?

– Nie.

– Na pewno?

– Nie będę kłamać. Z Märta.

– A, z Märta.

– Powiem ci, ale to będzie przykre.

– Chyba lepiej, żebym wiedział.

– No więc to było tak: Chciałam z Tomaszem wyjechać. Chciałam, żebyśmy mieli kilka dni... i nocy tylko dla siebie. Tomasz się wahał, i chciał, i nie chciał... bał się, uważał, że to byłoby nieuczciwe. Powiedziałam mu, że nieuczciwość już się dokonała, i napisałam do Märty, która na jakiś czas zamieszkała w domu ciotki koło Molde, w Norwegii. Szybko mi odpisała, że serdecznie nas zaprasza i że jedzie na kongres misjonarzy do Trondheimu.

– Rozumiem.

– Widzę, że próbujesz zrozumieć.

Anna pochyła się i całuje go w rękę. Wstrząsa



nią płacz, szybko się jednak opanowuje i przeciera dłonią czoło i oczy.

– Czy zwierzyłaś się jeszcze komuś?

– Tak.

– ?

– Wujkowi Jakubowi.

– Więc on wie.

– To nasz przyjaciel, bardzo nam bliski, potwiermował mnie.

– Jest moim przełożonym.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Nie, może i nie ma.

– On cię lubi. Przecież wiesz. Spotkałam go zupełnie nieoczekiwanie. Siedzieliśmy na przykościelnej ławce i gawędziliśmy. Spytał mnie, czy coś mi leży na sercu, więc się wypowiedziałam.

Milknie, wystraszona.

– I?

– Poradził mi wszystko wyznać. Powiedział, że nie ma innej możliwości, że powinnam zerwać z Tomaszem. Uznał to za mój obowiązek, za jedyne słuszne rozwiązanie. Jego zdaniem zgrzeszyłabym przeciwko tobie, gdybym ci nie powiedziała prawdy. Był surowy.

Ostatnie słowa Anna wypowiada szeptem, ze smutkiem. Henryk odchyła się na krześle, puszcza jej dłoń i patrzy w ciemną, splekiwaną deszczem szybę, w której odbija się lampa naftowa i dwie niewyraźne sylwetki. W dalszym ciągu panuje nastrój łagodnej powagi. Żadnych jawnych ani skrywanych urazów.

– Więc według ciebie był surowy. A czego się spodziewałaś?

– Nie wiem. Zdecydowałam się na spowiedź mimowolnie, niczego nie oczekiwałam. Może wiedziałam, co powie, a jednocześnie się bałam.

– Bałaś się.

– Powiedziałam wujkowi Jakubowi, że w tej sytuacji prawda byłaby dla wielu osób katastrofą. I usłyszałam, że cię nie doceniam.

Cisza.

– Teraz widzę, że wujek Jakub miał rację. I jestem mu wdzięczna. Pomagasz mi na dobre i złe.

Anna już nie ukrywa łez, zarzuca Henrykowi ręce na ramiona, opada na kolana, przytula go, całuje w oczy, czoło, szyję, a gdy on nie odwzajemnia jej pieśczoć, całuje go w usta. Henryk kładzie się na niej, Anna przytomnieje, ale po chwili zamyka oczy, ulega.

Ledwie zauważalny świt. Deszcz ustał, nad zatoką wiszą ciężkie chmury. Jest bezwietrznie. Anna leży w mężowskiej sypialni. Henryk śpi z głową na jej piersiach, spokojnie i bezgłośnie. Ostrożnie uwalnia się od niego, wyslizguje z pościeli, nasuwa mu kołdrę na ramiona i długo się przygląda. Potem cicho otwiera drzwi do swojej sypialni, zasuwa je, zapala świecę na stoliku przy łóżku i szczelnie przykrywa się kocami.

Wilgotny chłód, okno bez rolety, uchylone. W rynnie i beczce szumi woda, w oddali krzyczy

ptak, ale poza tym jest tak cicho, że Anna słyszy w uszach słaby świdrujący dźwięk. Zamyka oczy, wydaje się jej, że nie śpi, chociaż tego pierwszego dnia nowego koszmarnego życia chyba na parę chwil przysnęła, bo nie usłyszała, kiedy Henryk wszedł do niej.

Bardzo cicho, szeptem wymawia jej imię: Anno. I dalej: Chciałbym ci zadać jeszcze jedno, ostatnie pytanie, które nie daje mi spokoju.

– Tak.

– Przepraszam, jeśli cię obudziłem.

– Chyba nie spałam.

– Nie, nie zapalaj światła. Widzę cię, tak jest lepiej.

– O co chciałeś zapytać?

– E...

Henryk waha się, podchodzi do okna. Spokojny świt.

– Powiedz, o czym myślisz.

Anna siada na łóżku i splata dłonie. Przypatruje się czarnej sylwetce na tle szarego prostokąta okna.

– Zapytam wprost, bez ogródek. Chciałem to zrobić wiele razy, ale nie miałem odwagi, dopiero teraz, w tę noc całkowitej szczerości. I proszę cię o szczerą odpowiedź.

– Dobrze.

– Czy będąc z Tomaszem, odczuwasz cielesną rozkosz?

– Tak.

– Większą niż ze mną?

– Nie możesz mnie o to pytać.

– Proszę cię o szczerą odpowiedź.

- Nie mogę.
  - Już odpowiedziałaś.
  - Nic na to nie poradzę.
  - Co jest między nami nie tak?
  - Kocham Tomasza.
  - A mnie nie kochasz.
  - Może dawno temu kochałam. Nie wiem.
  - Nigdy nie było ci przyjemnie?
  - Nie chcę...
  - Odpowiedz.
  - Ile razy spaliśmy ze sobą, nigdy nie odczuwałam przyjemności. Najczęściej myślałam o tym, żeby jak najszybciej było po wszystkim. Zresztą żartowaliśmy sobie z tego.
  - Żartowaliśmy, fakt.
  - Nigdy nie było żadnego problemu. W każdym razie dla mnie.
  - Jedynie drobna niedogodność.
  - Mniej więcej.
  - I oby nie za często.
  - Tak.
  - Ale z Tomaszem jest inaczej?
  - Nie pytaj.
  - Tak, tak, rozumiem.
  - Usiądź przy mnie, Henryku.
  - Nie, nie będę cię już dłużej męczył, Anusiu.
- Na pewno jesteś bardzo zmęczona.
- Tak.
  - Ja też jestem zmęczony.
  - Dobranoc, Henryku. Podaj mi rękę.
  - Dobranoc, Anno. Nie, nie. Tak jest dobrze.
-

W głosie Henryka pobrzmiewają roztargnienie i smutek. Rozsuwa drzwi i ostrożnie je zamyka. Anna słyszy jego kroki w sąsiednim pokoju. Siedzi bez ruchu, wyprostowana, ze splecionymi dłońmi i szeroko otwartymi oczyma. Wyczekuje świtu, który nie nadchodzi.

Koniecznie muszę się w tym miejscu zatrzymać i zastanowić nad sytuacją. Dokąd prowadzą źródła? Jak wygląda prawda? To, co się naprawdę stało, nie jest interesujące. Liczy się jedno: kształtowanie się prawdy, poruszenia, rodzenie się i deformacje myśli głównych postaci, ich uczucia i lęki, i tak dalej *ad infinitum*. Muszę się zatrzymać, wyczuć. „Zadajesz mi cios śmiertelny. Zadaję ci cios śmiertelny”. Duchowy krajobraz bohaterów podlega silnym wstrząsom, przywołuje na myśl kataklizm w przyrodzie. Czy poddaje się jakimkolwiek opisom? Czy jego konsekwencje nie zaczną się uwidaczniać w ciałach, duszach, umysłach, rysach twarzy dużo później, długo po kryzysie? Czy w tego rodzaju obrachunkach może dominować werbalizm? Czy cechuje je raczej nieporadność, desperacja i chaos zarówno strony atakującej (Henryk), jak i defensywnej (Anna)? Czy dochodzi do takiego momentu, w którym Anna, powodowana słusznym gniewem, przypuszcza atak? Może nie w tak zwanej rzeczywistości, gdzie wszystko dojrzewa tygodniami, miesiącami, latami, gdzie nużącą monotonię z rzadka przerywa zawieszenie broni, iluzo-

ryczne pojednania i towarzyszące im, pełne patosu obietnice wieczystego pokoju.

Jak opisać owo małostkowe zrzędenie i powtarzające się coraz częściej upokarzające pytania, które w końcu zabijają współczucie? Jak opowiedzieć o truciźnie, która niczym gaz paraliżujący przesyca dom, by na długo, kto wie, czy nie na całe życie, nękać umysły jego mieszkańców? Jak przedstawić stanowiska obydwu stron, z konieczności nieostre i nieobiektywne, jako że postaci z drugiego planu nie mogły być naocznymi świadkami? Nikt nie wie – wszyscy widzą.

Następnego dnia jest pochmurno i bezwietrznie, deszcz przestał padać. Wilgoć. Małżonkowie nie są zbyt rozmowni, zmęczył ich brak snu. Henryk wcześniej wychodzi z domu, zabiera wędkę i wypływa łódką na jezioro. Anna pisze kilka listów, przegląda rachunki, po czym wsiada na rower i jedzie do najbliższego gospodarstwa, gdzie jest telefon, żeby zadzwonić do matki i dowiedzieć się, co u dzieci. Wyczulona Karin, słysząc lekko zmieniony głos córki, pyta, czy coś się stało. Anna błyskawicznie zaprzecza. Jak dzieci? Dag wbił sobie w policzek haczyk od wędki, wyjęli mu go w przychodni w Repbäckenie, poza tym wszystko w porządku, czują się dobrze, chłopcy są nieco markotni, bo niedługo skończy się ich swoboda, wiedzą, że w Smådalarö obowiązuje surowa dyscyplina, w każdym razie czują się dobrze.

Obiad – gotowany okoń w białym sosie i kisiel z rabarbaru – przebiega spokojnie. Rozmawiają o sprawach dotyczących rodziny, o haczyku w policzku, o tym, jak Ma wyobraża sobie przyszłość synowej i wnuka. Mówią o pracy w parafii, ponownym przesunięciu terminu restauracji kościoła, skardze wniesionej przez pastora Arboreliusza do rady parafialnej w związku z niedotrzymaniem obietnicy częściowego sfinansowania jego podróży po krajach nadbałtyckich, sukcesach nowo założonego stowarzyszenia matek i temu podobnych kwestiach.

Po obiedzie piją kawę na werandzie. Wiszące nieruchomo chmury i mgłę przeszywa nagle promień słońca. Małżonkowie zgadzają się, że to dosyć nieoczekiwane. Może jutro będzie piękny dzień, może się wybierzemy do Skärholmsviken. W głosie Anny słyszą cień prośby. Henryk z lekkim uśmiechem przyznaje, że byłoby przyjemnie.

Wszystkie rozmowy ulatują, ulatniają się słowa, opadają z sił wiązadła głosowe, języki i wargi. Zalega cisza. Anna ceruje na grzybku skarpetę. Duża dziura. Za długim rzędem pelargonii dogorywa pobzykując osa. Słońce po kilku minutach gaśnie, a z nim cienie, nie ma wiatru, wilgoć. Henryk z większym niż zazwyczaj zapałem czyta gazetę.

O siódmej małżonkowie wysłuchują wiadomości i przenoszą się do jadalni, gdzie przy okrągłym stole, w świetle lampy Henryk odczytuje kilka rozdziałów nowej powieści Elin Wägner. Potem idą na zwykajowy spacer.

O dziesiątej życzą sobie dobrej nocy, cmokają się w policzki i gaszą lampy naftowe. Henryk siada na schodkach werandy, pali cygaretkę. W gęstniejących ciemnościach majaczy lustro jeziora. Długi zmierzch kończy niespodziewanie iście jesienna, smolista noc.

Anna, dokonawszy starannych wieczornych ablucji, wchodzi do sypialni. Potem okulary na nos i lektura, skórki przy paznokciach wymasowane i nasmarowane maścią.

Tego dnia nic sobie nie powiedzieli. Całkowite odrętwienie. Dzień następny, wietrzny, niosący zapowiedź jesieni, mija równie spokojnie.

Ich milczenie wydawało się naturalne. Postronny obserwator nie dopatrzyłby się w ich reakcjach niczego dziwnego ani niepokojącego.

Anna, która zwykła przecinać ropiejące wrzody, nie odważyła się na żaden krok. Z niemałym wysiłkiem tłumila w sobie kłębiące się myśli i uczucia, lęk, wzburzenie, smutek, gniew. Jednocześnie dręczyły ją niepewność i konsternacja: I to już wszystko? Czyżby życie wróciło do utartych kolein? A może w tych spokojnych dniach czai się jakaś straszliwa groźba?

Henryk zachowywał się i mówił z pewną ostrożnością, by nie obudzić drzemiącego w świadomości nieznośnego bólu. Uprzejmość, krótkie chwile czułości, taktowne milczenie.

W piątek o trzeciej po południu miała przypląć Lisen, w sobotę, o tej samej porze – dzieci w towarzystwie niezwykle czynnej panny Agdy. Agda



była kiedyś nauczycielką młodszych klas gdzieś na równinie uppsalskiej, ale z powodu słabych płuc musiała przejść na skromną rentę i przyjęła posadę troksliwej, nieco zrezygnowanej guwernantki.

Małżonkowie jak zwykle zjedli obiad o piątej, po czym zabrali się do mycia naczyń. Henryk podniósł szklankę i przyjrzawszy się jej w świetle wpadającym przez kuchenne okno, stwierdził, że jest wyszczerbiona. Zajęta zmywaniem Anna przyznała mu rację. Kilka minut później doszedł do wniosku, że cała zastawa jest w opłakanym stanie. Wyszczerbione szklanki i talerze, srebra stołowe nie od pary. Mówił szybko, niewyraźnie. Zaskoczona Anna wyjaśniła ze spokojem, że skoro wynajęli dom razem z częścią wyposażenia, ściąganie zbyt dużej liczby nakryć i sztuców uznała za zbędne. Henryk, wycierając noże i widelce, zaczął rozważać jej argumenty. W tym momencie Annę ogrania lodowate przeczucie, że oto za chwilę runie ich świat.

– Tak – mówi Henryk – możliwe, że ma to swoje dobre strony. Nie mogę jednak pojąć, dlaczego musimy jeść na poplamionym obrusie. Tego nie rozumiem.

– Poplamionym?

Anna przerywa zmywanie, wierzchem dłoni odgarnia z czoła kosmyk włosów.

– Obrus jest poplamiony. Ponad tydzień, pewnie już z dziesięć dni jemy na poplamionym obrusie. Kiedy ciebie nie było, nie chciałem o tym mówić Lisen. Naprawdę mnie dziwi, że nie zauważyłaś tych plam. Zawsze widzisz takie rzeczy.

Anna bez słowa wychodzi do jadalni. Wyciera ręce w fartuch, otwiera kredens, wyjmuje obrus i rozkłada go na stole.

– Gdzie są plamy? – pyta uprzejmie, z trudem opanowując wewnętrzne rozedrganie.

Henryk pokazuje.

– Tu, tu i tu.

Owszem, na białym obrusie są ledwie zauważalne, trzy plamki: jedna ciemna, wielkości jednego öre, po stearynie, druga rdzawa przy lamówce i trzecia, niezbyt duża, ale najbardziej widoczna.

– Nie wiem, do czego zmierzasz – mówi Anna, siląc się na spokój.

Siada przy stole i kładzie dłonie na obrusie. Henryk stoi bez ruchu. Na prawej skroni paśowa czerwień, ręka na oparciu krzesła lekko drży.

– Nie wiem, do czego zmierzasz, Henryku.

– Nieważne. Nic ważnego. W każdym razie nie dla ciebie.

– Jutro zjesz obiad na czystym obrusie, i sprawa załatwiona. Przykro mi, że denerwują cię wyszczerbione szklanki i plamy, ale przecież jesteśmy na wsi i nie przyjmujemy gości.

– Ja widzę to inaczej.

– Więc powiedz mi, jak to widzisz.

Anna uśmiecha się. Henryk wciąż stoi obok krzesła, przesuwa palcem po wzorze obrusa.

– Bardzo prosto. Nagle sobie uświadomiłem, że zaniedbujesz dom.

– Co ty mówisz...!

- Zanedbujesz nasz dom. Kłęby kurzu pod łóżkiem... kwiaty więdną, podarta zasłonka... o, tam!

Henryk pokazuje na okna wychodzące na werandę. W cienkiej białej zasłonce przetarło się kilka nitek.

- Ależ Henryku! Nie było mnie tutaj sześć tygodni, a panna Lisen, chociaż bardzo się stara, nie najlepiej widzi. Przecież już o tym rozmawialiśmy. Nic nie poradzę...

- A dlaczego nie było cię przez sześć tygodni?

Anna czuje się bezradna, przygląda się mężowi. Ale on na nią nie patrzy. Spuścił głowę, może nawet zamknął oczy, pąsowa plama na skroni jest coraz większa, dłoń drży.

- Powiedz szczerze.

- Nie rozumiem. Przecież wszystko uzgodniliśmy. Fürstenberg zalecił dzieciom leśne powietrze. Nie chciałeś mieszkać razem z Ma w Dalarnie, wolałeś być tutaj. Sam mi zaproponowałeś, żebym pojechała z dziećmi do mamy, nie pamiętasz? Ja miałam być w Dalarnie, ty tutaj, i mieliśmy się spotkać na początku sierpnia. Zapomniałeś?

- Zastanawia mnie tylko, dlaczego tak szybko przystałaś na moją propozycję.

- Byłam ci wdzięczna za wspaniałomyślność i za to, że nie robiłeś trudności.

- Byłaś mi wdzięczna, bo ułatwiłem ci schadzki z kochankiem. Trochę mnie dziwiły te twoje wyjazdy do Uppsali, ale teraz wszystko jest jasne.

Rozmawiają uprzejmie. Anna w dalszym ciągu odwołuje się do zdrowego rozsądku. Henryk stop-

niowo i bezwiednie zaczyna tracić nad sobą kontrolę.

– Trzy razy pojechałam z Ma do Uppsali, żeby jej pomóc w załatwieniu różnych spraw po śmierci Ernesta.

– Cztery razy, Anno. Cztery.

– Rzeczywiście, cztery. Raz musiałyśmy się zająć Carlem, kiedy potwornie narozrabiał w pensjonacie, i trzeba go było natychmiast umieścić w Johannesbergu. Przecież wiesz.

– Znakomita wymówka, żeby się spotkać z kochankiem.

Anna milczy.

– Odpowiedz, Anno. Na Boga, bądźmy wobec siebie szczerzy.

Anna milczy.

– Bardzo cię proszę.

– Czego ty chcesz ode mnie? Wszystko już powiedziałam. Czego jeszcze chcesz?

– Szczegółów.

– Szczegółów? To znaczy?

– Dokładnie to, co mówię. Powinnaś mi zdać szczegółowe sprawozdanie ze swojego... ze swojego romansu z tym osobnikiem.

– A jeśli odmówię?

– Mam sposób, żeby cię zmusić. Brałaś to pod uwagę?

Owszem, brała, nawet podzieliła się swoimi obawami z Märta i z Jakubem. Henryk może jej zabrać dzieci. W wypadku separacji albo rozwodu sąd przyzna mu prawo do opieki nad dziećmi.

– Dlatego szczerowość wszystkim nam wyjdzie na dobre. Proszę cię więc, byś łaskawie odpowiedziała na moje pytania, w zgodzie z prawdą, a potem w ciszy i spokoju, być może korzystając z pomocy prawnika, zdecyduję, co dalej. Rozumiesz, co mówię?

– Tak.

– Chcesz coś powiedzieć?

– Zastanawiam się, gdzie się podziały wyrozumiałość i pobłażliwość, jakie mi okazałeś w niedzielę wieczorem. Co się stało z twoim wybaczeniem?

– Wyrozumiałość ma swoje granice. Twoje wyznanie mnie sparaliżowało. Teraz paraliż powoli ustępuje i zdaję sobie sprawę z ciężących na mnie obowiązków.

– Obowiązków?

– Naturalnie. Obowiązków wobec dzieci. Przede wszystkim muszę myśleć o dzieciach.

– Henryku, proszę...

– Ponieważ z całą bezwzględnością za rzecz najważniejszą uznałaś własną przyjemność, wystawiając na szwank dobro rodziny, cała odpowiedzialność spoczywa na mnie. To chyba oczywiste. Nie zamierzam tolerować wyszczerbionych szklanek, poplamionych obrusów ani podartych zasłon. Nie zamierzam tolerować tego rozprzężenia, do którego doprowadziła twój... rozpusta.

– Henryku, nie możesz...

– Czego nie mogę? Nie wolno mi zapominać o podstawowych obowiązkach. Muszę wiedzieć wszystko, ze szczegółami. Jeśli to cię krępuje... jeśli uważasz, że to w złym guście... chętnie przedstawię

ci pytania na piśmie. Twoje odpowiedzi, też w formie pisemnej, potraktuję, co oczywiste, z największą delikatnością.

– Rozumiem.

– Gdy byłem tutaj sam, tęskniłem za wami. Jednocześnie cieszyłem się wiedząc, że jest wam dobrze. Że dzieci są zdrowe. Pisałem ci, żebyś odpoczywała, była radosna i dzielna, że niedługo się zobaczymy, że Bóg ma nas w swojej opiece.

Anna zasłania twarz, by ukryć rozsadzający ją gniew. Muszę być rozsądna, muszę myśleć jasno, muszę...

– Co chcesz wiedzieć?

– Czy on cię widział naga?

Anna milczy.

– Słyszałaś pytanie.

– Słyszałam, ale zastanawiam się, czy przypadkiem nie śnię. To takie nierzeczywiste... Henryku, proszę...

– Bardzo proste pytanie. Czy byłaś naga? Czy byliście nadzy?

– Tak, byliśmy nadzy.

– Ma to pewne znaczenie, ponieważ przy mnie niechętnie się rozbierasz.

– To prawda.

– Ile razy z nim spałaś?

– Nie wiem.

– Na pewno wiesz, tylko wstydzisz się powiedzieć.

– Piętnaście, dwadzieścia razy.

– A ile razy zaraz po miłosnej schadzce spałaś ze mną?

– Nie mam pojęcia. Staralam się unikać takich sytuacji, a jednocześnie mówiłam sobie, że jeśli wszystko odbędzie się szybko, lepiej się nie przeciwstawiać, lepiej ci ustąpić.

– I to się nazywa miłość!

– Tak, może to jest miłość.

– Od jak dawna tarzacie się w rozpuście?

– Od ponad roku, jeśli przez rozpustę rozumiesz nasz romans. Ubiegłego lata Gertruda i Tomas przyjechali do Våröms, ty miałaś się zjawić tydzień później, mama była u pasierbów. Wspólnie z Gertrudą, Tomaszem i dziećmi obchodziliśmy świętego Jana. Często wyprawialiśmy się na długie spacery po lesie. Któregoś dnia Gertrudę rozboleło gardło, została w domu, a ja z Tomaszem poszliśmy nad Djuptjärn. Jest tam opuszczona zagroda... I poprosiłam go, żeby był ze mną. Namówiłam go.

– Ale nie zaszłaś w ciążę.

– Nie.

– Jak to możliwe?

– Po tych wszystkich komplikacjach podczas ostatniego porodu chyba nie mogę już mieć dzieci.

– To dlaczego kazałaś mi uważać? Dlaczego mnie okłamywałaś?

– Kłamałam, bo już sama myśl o twoim nasieniu we mnie była nie do zniesienia.

– Ale nie o jego?

– Nie, o jego nie.

– Rozumiem.

– Coś ty nagle zrozumiał?

– Rozumiem, dlaczego przez ostatni rok za-

niedbywałaś dom. Wyszczerbione szklanki, poplamione obrusy...

– Było dokładnie odwrotnie. Miałam takie wyrzuty sumienia, że znacznie bardziej niż zwykle starałam się dogodzić tobie i dzieciom. W dwójnasób. Udzielałam się w zajęciach parafialnych. Robiłam wszystko, co tylko mogłam. Możesz mnie obwiniać o najgorsze, Henryku, ale na pewno nie o to, że zaniedbywałam dom, że nie pracowałam na rzecz parafii, że nie dokładałam wszelkich starań.

– I nie o brak wyrzutów sumienia.

– Tak, o to też nie. A przede wszystkim nie o to, że was nie kochałam... ciebie też... i że chciałam was skrzywdzić.

– O czym rozmawialiście?

– Nie rozumiem.

– O czym rozmawiałaś z tym panem? Bo chyba się bez przerwy nie pieprzyliście.

– Nie mów do mnie w ten sposób.

Cisza. Po chwili:

– Przepraszam, masz rację.

– Wszystko ma swoje granice, Henryku.

– O czym rozmawialiście? Tomas studiuje, zostanie księdzem. Jest młody, słyszałem, że to znakomity muzyk. Pianista?

– Zastanawiał się, czy Bóg nas ukarze.

– I?

– Być może myślałam, że raz w życiu będzie mi dane zaznać autentycznego szczęścia w miłości. Tomas miał więcej obaw niż ja. Prosiłam Boga, by ukarał tylko mnie, a Tomasa oszczędził.



- Więc prześcigaliście się wzajemnie.
- Jak to?
- W religijnej erotyce. Co za gust!

Anna wpatruje się w Henryka, oniemiała. Tunel jest coraz węższy, runęły bezpieczne fundamenty rzeczywistości, nie ma już punktu oparcia, nie ma stałego gruntu pod nogami. Zostały popioły i zgliszczka. Wstaje.

- Niedobrze mi.

Stara się iść powoli. Żółć podchodzi jej do gardła. Zaciska zęby, opiera się o gruby pień dębu, wymiotuje. Przeszywają ją skurcze, zlewa pot. Jest wszędzie, na szyi i pod pachami, na policzkach i na czole. Nigdy jeszcze tak nie wymiotowałam, myśli mgliście. Atak mija. Anna wyciera wargi. Nie odchodzi od drzewa. Owiewa ją odór wymiocin.

W półmroku wyczuwa raczej niż widzi Henryka. Przyniósł kubek wody. Wypij. Pomogę ci. Jeśli nie będziesz już wymiotować, wejdźmy, połóżysz się na kanapie w pokoju, posiedzę przy tobie, nie będziemy rozmawiać. Musimy się uspokoić, musimy trzeźwo myśleć, nie będziemy powiększać bólu. Zaraz będzie ci lepiej, zobaczysz, koc, poduszka, siadę sobie tutaj i nie powiem ani słowa. Znów zaczęło padać. Zamknę drzwi werandy. Lampa na kredensie niech się pali, żebyśmy się mogli widzieć, oczywiście jeśli będziemy chcieli.

## Rozmowa trzecia

*marzec 1927*

Matka Anny na kilka godzin przyjechała z Uppsali do Sztokholmu, żeby spotkać się z córką. Zatrzymała się w „Nylanders Pensionat” na rogu Brahegatan i Humlegårdsgatan.

Anna parę tygodni spędziła z Henrykiem w sanatorium. Henryk otrzymał półroczne zwolnienie z powodu „przemęczenia i słabych nerwów”, jak to zostało ujęte w orzeczeniu lekarskim. Ponieważ spotkanie się matki Anny z Henrykiem nie byłoby wskazane, stąd pomysł z pensjonatem.

Jest marzec 1927 roku, popołudnie.

Anna na ulicy.

Anna w bramie.

W przedpokoju.

Panna Elin Nylander. Siwe, starannie uczesane włosy, czarne oczy.

Długi ciemny korytarz, po drodze kuchnia.

Panna Nylander przeprasza, że pokój jest nieduży i nie najlepszy, ale aż do Wielkanocy wszystko już zajęte. Zresztą to tylko parę godzin.

Wysokie wąskie okno wychodzi na podwórze. W pokoiku tremo, łóżko, dwa krzesła. Biel. Za odsuniętym parawanem umywalka, miednica i dzbanek. Przy biurku pod oknem siedzi Karin. Ze znisz-

czony teczki wyjęła skoroszyt. Panna Nylander proponuje poczęstunek. Karin piła już herbatę, na krześle stoi taca, którą gospodyni natychmiast zabiera. Anna nie ma ochoty na herbatę, więc panna Nylander wychodzi. Ani myśli podsłuchiwać, od razu idzie do kuchni, wyłącza gaz pod czajnikiem i siada do lektury „Svenska Morgonbladet”. Zapala cienkiego tureckiego papierosa.

Jak wygląda powitanie? Czy się obejmują? Czy Anna szybko zdejmuje palto i kapelusz, kładzie je na krześle przy drzwiach, zzuwa śniegowce i poprawia włosy przed zmętniałym lustrem? Jakie dominują gesty i ton głosu w pierwszych minutach tego wstydlivego spotkania matki z córką w ciasnym pokoiku cichego pensjonatu panny Nylander w marcowy dzień, gdy nad błotnistymi ulicami wirują śnieżynki? Na podwórku płacze dziecko. Trzeba mieć siłę żyć dalej, tak być musi. Jakie to upokarzające umawiać się w pensjonacie.

– Nie mam dużo czasu. O piątej Henryk wraca z Uppsali. Z dworca weźmie taksówkę. Chcę być wtedy w domu. Co powiedział profesor Thorling?

– Niewiele. Uważnie mnie wysłuchał, stwierdził, że bardzo dokładnie przeczytał twój list, ale z oczywistych powodów musi się wstrzymać z opinią do czasu rozmowy z Henrykiem.

– Nic nie mógł powiedzieć?

– Więcej cierpliwości, Anno. Profesor Thorling to doświadczony lekarz. Nie możesz oczekiwać, że będzie się opierał wyłącznie na naszych relacjach. Jedno podkreślił bardzo wyraźnie. Otóż nie przy-

mie Henryka do szpitala wbrew jego woli. Warunki tak zwanej przymusowej opieki są ściśle określone. Pacjent musi stanowić zagrożenie dla siebie albo dla innych.

– Więc najpierw musi się coś stać, żeby mógł interweniować?

– Profesor zaznaczył, że w świetle prawa nie istnieje na razie żadne dowody świadczące o chorobie umysłowej Henryka.

– A szkody?

– Szkody?

– Moje i dzieci. Szkody się nie liczą?

– Usiądź naprzeciwko mnie, Anno, i spróbujmy porozmawiać rozsądnie. Nie mamy dużo czasu.

– Nie mogę. Nie chcę.

– Nie stój przy drzwiach. Zupełnie jakbyś zamierzała uciec.

– Jak długo muszę to jeszcze znosić?

– Usiądź. O, tak.

– Jest w kółko to samo, Ma. Zaczyna się od tego, co wałkowaliśmy wczoraj, przedwczoraj i dzień wcześniej: Jak ksiądz, który utracił wiarę, może co niedziela odprawiać kazania? I że to moja wina, że on tę wiarę utracił. Jak mogę brać na siebie odpowiedzialność za jego załamanie nerwowe i duchowe ubóstwo? Natychmiast musi dostać coś na sen. Jeśli nie zaśnie, dręczą go czarne myśli i płacze. Zapalam lampę. A potem: Co się stanie z dziećmi? Mają ojca, z którego nie ma żadnego pożytku i który ciągle choruje. Co to za ksiądz, który nie może wygłaszać kazań? I co to będzie, kiedy stanie na ambonie i zwróci się ku nie-

---

mu niezliczone twarze wiernych? Przecież on nie ma im nic do powiedzenia. Na dobrą sprawę powinien im powiedzieć prawdę, a prawda jest taka, że ja, Anna, jego żona, czy jak tam mnie teraz zwać, tak go ubezwłasnowolniłam, że nie jest w stanie głosić słowa Bożego. Tak to wygląda, mamó. A potem środki nasenne i skargi, że on nie ma siły. Każde moje słowo, każda reakcja są jak trucizna. W spojrzeniu Henryka czai się pustka, oczy zachodzą mu łzami, łzami litości nad sobą... i mówi, że nie jest godzien... że takie dziedzictwo przysporzy dzieciom piekła na ziemi... I mówi, że chciałby umrzeć. Ale to nieprawda. On się boi śmierci, a chodzi mu jedynie o to, by mnie upokorzyć. Upokorzyć. Bo koniec końców to ja ponoszę winę i gdy on mnie upokarza i hańbi, ja mam go pocieszać.

– Chciałabym cię o coś spytać, Anno. Tylko odpowiedz mi szczerze. Kiedy wychodziłaś za mąż za Henryka, wbrew opinii mojej i rodziny, przewidywałam, że czekają cię kłopoty, kłótnie, łzy. Ale jednego byłam pewna, tego mianowicie, że on cię kocha. Co się stało? Co zniszczyło jego uczucie? Powody, o których mówimy, nie usprawiedliwiają aż tak drastycznej zmiany.

– Nie rozumiem, do czego mama zmierza.

– Z pewnością rozumiesz. Chciałabym cię zapytać, czy nie czujesz się ani trochę winna obecnej sytuacji? Spójrz na mnie, Anno! I odpowiedz najszczerzej, jak umiesz. Czy w tym, co się dzieje, co was oboje niszczy i zagraża dobru dzieci, nie ma ani trochę twojej winy?

– Owszem, jest.

– Powiedz mi, jaka.

– Nikomu nie pozwolę sobie odebrać wolności, nikt nie zabroni mi myśleć i czuć po swojemu. Nasz dobry przyjaciel, Carl Alderin... znasz Carla, przygotowywał się do egzaminu końcowego z prawa... Carl Alderin powiedział, że nie zdąży na wiosnę, nic zresztą dziwnego, bo nie grzeszy pilnością, i że będzie gotowy dopiero na Boże Narodzenie. Henryk się wściekł i napisał do niego, że skoro tak, nie będzie w naszym domu mile widziany. Carl dzwoni do mnie z płaczem, nic nie rozumie. A ja muszę się dostosować, zamknąć temu nieszczęśnikowi drzwi przed nosem...

Anna przerywa. Uświadamia sobie, że ten argument nie wywarł na matce najmniejszego wrażenia.

Tak... i? Karin wpatruje się w córkę ciemnoniebieskimi oczyma. Okrągła twarz, wysokie czoło, silny podwójny podbródek, lśniąca, starannie uczesane, siwe włosy – wszystko, cała jej postać emanuje skupieniem.

– Tak... i?

– Nie rozumie mama? Ni stąd, ni zowąd nie wolno mi zapraszać przyjaciela. Naszego wspólnego przyjaciela. Musi być ukarany.

– To jedynie powód do irytacji, ale nie widzę w tym tragedii. A prawdziwy powód, Anno?

– Jestem skazana na dożywotnie odosobnienie, z którego nigdy się nie wyzwolę. Ale ani myślę się poddawać. Odmawiam! Nie wybaczę mu, nie stać mnie na wyrozumiałość, już go nie Kocham.

– Czy jest ktoś inny?

– Nie... nie.

Anna odpowiada natychmiast i napotkawszy spojrzenie matki, dodaje bez wahania:

– Skąd to mamie w ogóle przyszło do głowy?

– Daruj ciekawość.

Milczenie.

– To mama nauczyła mnie wolności. To mama chciała mi zapewnić porządne wykształcenie. To mama i ciocia Signe mówiłyście o prawie kobiety do własnego życia. I jak to teraz wygląda?

– Trójka dzieci odsuwa własne ambicje na drugi plan. Wiesz o tym.

– Tak.

– Odpowiadasz za życie swoich dzieci.

– I tego właśnie chcę. Chcę odejść, wziąć dzieci, stworzyć im normalny, zdrowy dom. Chcę wrócić do zawodu. Jeśli ja przegram, przegrają i dzieci.

– Nie wolno ci pomijać ich ojca.

Milczenie, milczenie, milczenie.

– Nic nie mówisz?

– A co mam powiedzieć?

– Miałyśmy rozmawiać szczerze.

– Brak mi słów na takie argumenty.

– Może są ku temu powody.

– Są, ale wcale nie muszą być prawdziwe.

Milczenie. Trudna sytuacja.

– To trudne, Ma.

– Owszem, trudne. Bo kłamiesz. Wstyd mi za twoje kłamstwa. Naprawdę wstyd.

– Jakie kłamstwa?

– Bardzo niedawno dowiedziałam się, że od blisko trzech lat utrzymujesz stosunki z młodszym od siebie mężczyzną. Wiem, kto to jest, znam jego rodziców, nie wymienię jednak jego nazwiska.

– Jak się mama dowiedziała...?

– To nie ma znaczenia. Przeszło półtora roku temu powiedziałaś o wszystkim Henrykowi i tak zaczęły się problemy. Rok później Henryk przechodzi załamanie nerwowe i trafia do szpitala. Rzekomo wskutek przemęczenia. Czy tak?

– Tak.

– Czy nadal pozostajesz w tym związku?

– Tak.

– Henryk chce ratować wasze małżeństwo. Chce podjąć pracę, chce spróbować...

– Wiem.

– Ale ty myślisz o tym z odrazą i zamierzasz odejść?

– Tak.

– I uznanie Henryka za chorego stanowi część planu. Twierdzisz, że Henryk jest umyślowo chory, chcesz go zamknąć w szpitalu, by uchodzić przed światem za osobę bez winy.

– Tak.

– Wciągasz mnie w swój plan i mówisz nieprawdę, oczekując pomocy.

– Nie miałam innego wyjścia.

– Nie będę komentować twojego zachowania.

Każdy kiedyś odpowie za swoje uczynki.

Anna smutno się uśmiecha.

– Zawsze mama tak mówi.



Dystans, mrok, pobladłe twarze, oddechy. Tłumiona złość: Nigdy mnie nie kochałaś, ty, moja matka. Chodziłam własnymi drogami, sama mi je pokazałaś i kiedy ci uwierzyłam i posłuchałam, zapomniałaś o wszystkim i zamknęłaś przede mną serce. Nie chciałaś mnie widzieć. Daremna była moja miłość do ciebie i podziw. Tak było i tak jest.

Karin: Anna, moja dziewczynka, moje dziecko wpatruje się we mnie pośepnie i szczerze. Powinnam wyciągnąć rękę, pogłaskać ją. Jakie to proste. Objąć, przytulić. To takie proste. Jej ból jest moim bólem. Dlaczego siedzę bez ruchu i patrzę na nią jak na kogoś obcego? Dlaczego jestem nieczuła, dlaczego wznoszę barykady, dlaczego rzeczy błahe uważam za ostateczne, dlaczego nie... Przecież ona zblądziła. Dziecinko droga, czemu cię nie biorę w ramiona? Moja córeczka zawsze chodziła własnymi drogami, nikogo nie słuchała, odwracała się, odtrącała mnie. Byłam bezsilna i zła. Czy się teraz rewanzuję? Czy cieszy mnie jej wielkie zmartwienie? Nie, nie cieszy. Ale nie odczuwam szczególnie bliskich więzi.

Zmierzch, mokre płatki śniegu na szybie, dalekie postrzępione dźwięki pianina, urywane takty. Matka patrzy w okno, światło dnia przygasa. Niereczywistość. Obcy pokój, obca ściana przeciwpożarowa na podwórzu, obce uczucia. Odplynęły dobrze znane modulacje głosu, nie istnieją znane zachowania i reakcje. Co się dzieje, gdzie jestem... Miłość, nadwątlona i zbrukana, jest tylko bólem. Ciężar, cierpienie, ból. Choroba, na którą nie ma lekarstwa. Chcę... myślałam, że nic mnie nie pokona, że

po mistrzowsku panuję nad swoim życiem. I płacz, ale bez śladu łez.

– O siódmej mam pociąg do Uppsali. Ty musisz wracać do domu, do Henryka i dzieci. O której będzie obiad? No tak, dzisiaj trochę później, pewnie kiedy Henryk przyjedzie. Nie mamy dużo czasu. Chciałabym tylko omówić z tobą kilka kwestii natury praktycznej, jeśli oczywiście zechcesz mi jeszcze poświęcić parę minut.

Karin zapala lampę na biurku, wkłada okulary i z przesadną pieczołowitością wyjmuje ze skoroszytu rachunki, kilka luźnych kartek i szarą kopertę.

– Szukałam twojego notesu z adresami w szufladach biurka, w torebkach i w szafie, ale bez powodzenia. Jesteś pewna, że Henryk go nie wziął?

– Nie wiem.

– Jak prosiłaś, zadzwoniłam do pralni na Östermalmie i zamówiłam praczki na koniec miesiąca.

– Dziękuję.

– Trzeba ci też wiedzieć, że Ellen nie zostaje. Dlatego skróciłam urlop Evy. Ma ręce pełne roboty. Ellen jest wykończona, dwa razy musiała przekładać podróż do domu. Tym bardziej się cieszy, że u mnie znów będzie miała ciszę i spokój. To nawet lepiej, że Evy zatroszczy się o wszystko, że będzie odpowiadać za prowadzenie domu. Maj paskudnie się przeziębila, ale już jest na nogach. Masz bystrą dziewczynę, której możesz ufać. Nie potrzebujesz chyba aż trzech pomocnic, prawda?

– Nie.

– Zanim tu przyszłam, zamówiłam w „Röstrands-

boden” sześć talerzyków z tego kompletu, który macie. Dostarczą je w przyszłym tygodniu.

– Dziękuję.

– W skoroszytcie masz podpisane rachunki, wszystko jest zaksięgowane i wyliczone. Zgadza się co do trzech koron.

– Dziękuję.

– W kopercie są listy Henryka do mnie, które powinnaś przeczytać. Byłaś ciekawa, skąd mam informacje.

– Dziękuję.

– Aha, póki pamiętam: Oddałam do renowacji srebrną łyżkę deserową, na Humlegårdsgatan jeden. Będzie za miesiąc... mają dużo pracy, ale uznałam, że lepiej załatwić to teraz niż nigdy. Obiecali, że będzie jak nowa.

I tyle. Nie ma już nic więcej do dodania. Anna wstaje, podchodzi do krzesła przy drzwiach, wkłada palto, kapelusz w dłoni. Matka siedzi przy oknie. Chce coś powiedzieć, ale brakuje jej słów.

– Anno!

– Tak?

– Chodź tu do mnie.

Anna posłusznie staje przed matką, spuszcza głowę.

– Co mama chce powiedzieć?

– Nie rozstawajmy się jak wrogowie.

– Nie jestem mamy wrogiem. Przeciwnie, jestem ogromnie wdzięczna za wszystko, co mama dla mnie zrobiła w tym trudnym okresie. Nie wyobrażam sobie, co by było, gdyby nie pomoc mamy. Jestem na-

prawdę dozgonnie wdzięczna. Postąpiłam głupio, nie mówiąc mamie o Tomasie. Bardzo głupio. Zwłaszcza że mogłam przewidzieć reakcję Henryka. To przecież oczywiste. Informując mamę, wiedział, że nam obu może wyrządzić krzywdę, co z pewnością by mu dogadzało. Z wielu względów. Dobry Boże, jak ja go nienawidzę. Życzę mu śmierci.

Anna mówi spokojnie, relacjonuje: Chodzi za mną jak zranione zwierzę, zapewnia, że nigdy mnie nie opuści, że przeboleje mój związek z Tomaszem, a jednocześnie przeszukuje moje schowki, czyta moje listy, podsłuchuje rozmowy telefoniczne. I patrzy na mnie tym swoim wodnistym spojrzeniem, którego nie cierpię, i mówi przyciszonym głosem. Czy mama wie, że on szpera w moich książkach, przegląda podkreślenia i uwagi, przekartkował nawet modlitewnik. Czasem zachowuje się jak z piekła rodem. Nie to jednak jest najgorsze. Najgorsze są nasze bezsenne noce. Budzi mnie o pierwszej. Bierze środki nasenne, silne środki i albo wije się z bólu na podłodze, albo siedzi na krześle przy drzwiach z rozdziawionymi ustami, jakby miał zamiar krzyczeć lub wymiotować. To takie okropne, że aż zbiera mi się na śmiech. Bo a nuż on odgrywa tragedię? Chce mnie przerazić, załamać, zmusić do współczucia? Więc mu obiecuję, że zrobię wszystko, byle tylko się uspokoił. I tak się odbywa ten rytuał. Jeżeli w ten sposób ma wyglądać moja przyszłość, dziękuję, nie skorzystam, włączę gaz albo przetnę sobie żyły...

Pokoik oświetla jedynie mała lampa z żółtym abażurem, która stoi na nocnym stoliku opodal przykry-

tego szydełkową narzutą łóżka o wysokich wezgłowiach. Ciemnawo. Marcowy zmierzch za oknem zgęstniał, przestał padać śnieg. Na ścianie przeciwpożarowej kładą się cieniem refleksy ubłoconego miasta. Na podwórzu rozmawiają dwie kobiety. Luźne palta, dzbanki w dłoniach, śniegowce w śnieżnej brei. W kuchennych oknach zapalają się światła.

Karin nadal siedzi na krześle, lewy łokieć na biurku, twarz zwrócona do okna, bez wyrazu. Anna stoi naprzeciwko matki w dopasowanym, obszytym futerkiem palcie, kapelusz położyła na krześle. Ręce w kieszeniach, ciemne oczy szeroko otwarte. Pannuje nad głosem, jakby opowiadała o kimś trzecim, ledwie znanym.

Karin nie przerywa. Nie wiem, czy rejestruje każde słowo, czy wychwytuje tylko intonację. Ale się nie wtrąca i nie patrzy na Annę. Pozwala jej mówić.

– We wrześniu, kiedy po niedzielnym kazaniu dostał rozstroju nerwowego, nie chciał mnie widzieć. Nie chciał ze mną rozmawiać. Kontaktowaliśmy się przez pośrednika. Najczęściej była to panna Terseus, mama ją zna, od początku wzięła stronę Henryka. Zadbala o umieszczenie go u Samarytanek, rozmawiała z profesorem Fribergerem i załatwiła Henrykowi urlop bezpłatny. Od niej się dowiedziałam, że Henryk nie jest w stanie ze mną mówić i że nie może mnie widzieć. Początkowo śmiertelnie się wystraszyłam. Bałam się, że coś sobie zrobi, sama już nie wiem, co myślałam. Dręczyło mnie poczucie winy, że to wszystko przeze mnie. Ale potem wezbrała we

mnie wściekłość i przestałam się tym przejmować. Byłam zadowolona, że nie muszę oglądać tego człowieka, który zdręczał mnie od roku, od zeszłego lata, kiedy mu wszystko wyznałam. Później zapanowała cisza. Od Torstena Bohlina i Einara wiedziałam, że dobrze się czuje w szpitalu. Miał opiekę i przyjaciół. Po pewnym czasie jakoś się już z dziećmi urządziłam, i dobrze nam się wiodło. Chłopcy byli spokojniejsi, śladu bezsenności, żadnego ogryzania paznokci, krzyków ani bójek. I zaczęłam dostawać listy. Najpierw raz w tygodniu, potem codziennie. Przeważnie zdawał mi suchą relację: Jak się czuje, kto go odwiedza, co powiedział profesor. Stopniowo jednak wprowadzał coraz bardziej osobiste tony. Donosił, że najchętniej by się wyprowadził ze Sztokholmu i objął parafię gdzieś daleko na północy. Głęboko zatroskany, pisał o naszej wspólnej przyszłości, pisał, że tęskni za mną i za dziećmi. Gdy zapytałam profesora Fribergera, co mam robić, ten zalecił mi spolegliwość. Postanowiłam więc odpisywać. Na początku dosyć zdawkowo, później coraz obszerniej, z fałszywą czułością. Zmuszałam się, nie miałam innego wyjścia. I całkiem dobrze mi to wychodziło. Jak mama wie, spędził z nami święta Bożego Narodzenia, cały czas brał środki uspokajające, był zmęczony, ale uprzejmy. Boże Narodzenie upłynęło spokojnie, właściwie tak jak zawsze, z powodzeniem odegraliśmy coś w rodzaju teatru duchów. W przeddzień jego powrotu do szpitala o mały włos nie doszło do katastrofy. Jedliśmy kolację nieco wcześniej niż zwykle, Henryk miał pociąg o wpół do siódmej rano. Był już spakowany. Dag,

który siedział po jego prawej stronie, zaczął stroić miny i błaznować. Chciał nam pokazać, jak pastor Konradsen pije wódkę. Na ogół świetnie mu to wychodziło i przyjmowaliśmy jego żarty z życzliwym uśmiechem. Ale tym razem się nie udało. Dag się zakrzuszył, szklanka z wodą wypadła mu z rąk i rozbiła się na stole. Kiedy Henryk bardzo porywczo przywołał syna do porządku, Dag zaczął bębnić łyżką w talerz. Henryk, już rozwścieczony, kazał mu natychmiast odejść od stołu. Dag milczał przez chwilę, a potem całkiem spokojnie powiedział: „Bardzo dobrze, nie będę musiał ojca oglądać. Wszyscy zresztą tak myślimy”. „Co myślicie?” – pyta Henryk, też spokojnie. „Wszyscy się cieszymy, że ojciec wraca do szpitala”, mówi Dag, po czym idzie do swojego pokoju i zatrzaskuje drzwi. I wtedy się zaczęło. Henryk poszedł za nim i chwilę później usłyszeliśmy przeraźliwe krzyki. Pobił syna trzepaczką. Siedziałam przy stole jak sparaliżowana. Kiedy zapadła cisza, poszłam do Daga. Henryk zamknął się u siebie w gabinecie. Dag leżał na podłodze... pokrwawiony, duże czerwone plamy... Nie mogę o tym mówić... Henryk wrócił do szpitala. Nie rozmawialiśmy ze sobą. Długo nie było żadnych listów. Wujek Jakub dostał od niego oficjalną rezygnację. Henryk nie chciał być księdzem, uważał, że jest niekompetentny, że wszystko się w nim wypaliło. Wujek odwiedził go w szpitalu i poprosił, żeby się jeszcze wstrzymał z ostateczną decyzją. Po długich i dusznych dyskusjach za i przeciw Henryk, nie bez obaw, przystał na propozycję Jakuba. Pod koniec lutego zmienił się charakter jego listów. Na błagalny. Pisał,

że dzięki cierpieniu dojrzeliliśmy i że wyszliśmy z tej próby oczyszczeni. Nie wiedząc, co mu odpowiedzieć, dalej kłamałam. Tłumiłam w sobie lęk przed tym, co będzie, cieszyłam się tym, co mam. I kiedy tylko mogłam, spotykałam się z Tomaszem. Wprawdzie niezbyt często, ale to nie miało znaczenia, wydawało się takie nierzeczywiste... A może właśnie chwile spędzane z Tomaszem były rzeczywiste, a cała reszta nie... nie wiem. Na początku marca... o czym mama już wie... pojechaliśmy z Henrykiem do Solbergi. Uznano, że jest zdrowy. Miał przyjmować coraz mniejsze dawki środków nasennych i uspokajających i powoli przyzwyczajać się do codziennego życia ze mną. Profesora Fribergera, który pojechał z wykładami do Ameryki, zastąpił profesor Thorling, właściwie nic wielkiego się nie stało, ale... no tak, mama z nim rozmawiała. Ale nie wie mama, jak było w Solberdze. Nie mogłam o tym pisać, bo Henryk kazał sobie czytać wszystkie listy. Prawdziwe piekło. Wobec gości, kierowniczkę i personelu zachowywał się z uprzedzającą grzecznością, sprawiał wrażenie osoby pogodnej i harmonijnej. Ta jego dwoistość była dla mnie czymś naprawdę okropnym. Muszę się mamie przyznać, że to trochę peszy, kiedy się wie, że on może być zdrowy, miły, sympatyczny, pogodny. Może. Czasem myślę o własnej dwoistości, o przymusie i o tym, co by było, gdybym się załamała... Gdybym zaczęła krzyzczeć... Dlaczego Henryk... Czy on rzeczywiście jest chory? Czy jest nieuleczalnie chory? A może on tylko gra, żeby zyskać władzę nad innymi, nade mną? Nie, nie wierzę, by robił to świadomie, nie wierzę, że

---



by był do tego stopnia nikczemny. No i mama dostała dobre wiadomości z Solbergi. Z jednym wyjątkiem. Jeden jedyny list udało mi się jakoś przemyścić bez jego wiedzy, bo tego dnia wyprosił coś na sen. Domyślam się, że była mama bardzo zaskoczona. Nie sądzę, żeby profesor Thorling mógł nam pomóc. Henryk go oczaruje, będzie pełen zapału i chęci do pracy. Tak, mammo... sytuacja bez wyjścia. Czasem się zastanawiam, ile trzeba, żeby się załamać? Ile strachu, napięć, uczucia bezsilności... Jakoś sobie radzę, dni mijają... Tylko czemu to służy? Jaki w tym głębszy sens? Czy istnieje jakiś ukryty cel, którego nie jestem w stanie dostrzec? Czy będę ukarana? Czy będzie mi wybaczone? Dlaczego dzieci mają pokutować za mnie? A może cierpienie dzieci zostało wliczone w tę karę? Błądzą w ciemnościach, mammo. Żadnego światelka. Jeśli Bóg istnieje, jest ode mnie oddalony o całą wieczność. Dlatego...

Anna milknie.

– Przerwałaś.

– Dlatego dalej spotykam się z Tomaszem. Wiem, że on się boi. Zakochał się w macierzyńsko dobrej, starszej pani, która słuchała jego muzyki i wsłuchiwała się w jego myśli. Był ufny i wierny. Aż tu nagle... to zabawne... ta podstarzała, lubieżna damulka przykleja się do niego na dobre... Może chciałby się mnie pozbyć, tylko nie ma odwagi... nie ma odwagi mnie odprawić mimo moich próśb. „Tomasz, przetrnij to! Odejdź. Zostaw mnie, jeśli jestem ci zakałą. Nie chcę ci niszczyć życia”. Mówię tak, ale to jedynie słowa. Nie jestem wobec niego szczera. W rzeczywistości

chciałabym mu wykrzyzczyć te wszystkie dobrze znane banały: „Nie odchodź, nie odchodź ode mnie, wszystko dla ciebie rzucę, dzieci, rodzinę, bylebym tylko mogła być przy tobie”. Taka jest prawda. No, może nie do końca, ponieważ stać mnie na krytycyzm. Podobno miłość jest ślepa. Myślę, że nie, że jest przenikliwa i czujna, że widzi i słyszy ponad miarę. Widzę, że Tomas to miły, ciepły, uczuciowy i pogodny chłopiec, ale przy tym nieco sentymentalny i często mówi głupstwa, na które przymykam oczy. Zastanawiam się, co by było, gdybyśmy... Nie, nic by nie było, bo on... bo on nie zawsze jest szczery. Wiem, kiedy kłamie. Nie chcę go jednak peszyć i gra toczy się dalej... Czasem nachodzi mnie myśl, czy ja sama jestem szczerą. Prawda rozprasza się, ulatuje, jest nieuchwytna. Jestem taka zagubiona, mam. Mówię i mówię, ale tak na dobrą sprawę boję się, jestem wyczerpana...

Rozlega się pukanie. W drzwiach pojawia się biała upudrowana twarz panny Nylander. Telefon. W przedpokoju. Proszę.

– Podałam ten numer Ewy, na wypadek gdyby coś się stało – mówi Karin.

Ale Anna jej nie słyszy, już jest przy aparacie. Halo, słucham.... Oczywiście... dziękuję, dobrze, że Ewy zadzwoniła. Zaraz będę. Będę za dziesięć minut.... Dziękuję, dobrze.

Gdy Anna wraca do pokoju, panna Nylander, która rozmawia z matką, natychmiast się wycofuje i już za drzwiami pyta z życzliwą usługowością: Może zamówić taksówkę? Nie, nie, dziękuję, nie trzeba.

Henryk przyjechał wcześniej i co ona teraz...

– Ależ drogie dziecko, po prostu byłaś w mieście, wracasz i jesteś zdziwiona...

– Niech mama pójdzie ze mną. Inaczej Henryk pomyśli...

– O, nie, nie zamierzam się z nim widzieć.

– Co ja mam robić? Co ja mam robić?

– Idź już, Anno.

Anna patrzy na matkę, która dosyć mocno trzyma ją za ramię. Jest zrozpaczona. Spuszcza wzrok, bierze kapelusz z krzesła i odwraca się do lustra.

– Uważaj na siebie, córeczko.

Słowa padają nieoczekiwanie, być może zaskakują samą Karin. Anna obejmuje matkę, ale ta nie odwzajemnia czułości, poklepuje tylko córkę po plecach. Tak mija kilka sekund i Anna w pośpiechu wychodzi. Gdyby nie matka, zapomniałaby o torebce. W milczeniu kiwa głową.

Karin zostaje sama. Gdzieś w głębi domu słychać ostatnie takty niezwykle skrupulatnie wykonywanej sonaty Beethovena. Podnosi dłoń do oczu. Nie, nie płacze, to w ogóle nie wchodzi w grę. Smutek.

## Rozmowa czwarta

*maj 1925*

Anna czyta na głos:

– „*Molde* położone jest wyjątkowo pięknie, wśród fiordów i ośnieżonych szczytów *Romsdalsfjället*. Domy, przeważnie drewniane, niemal jak na południu Europy toną w zieleni. Latem *M.* stanowi ośrodek niezwykle ożywionego ruchu turystycznego. Miejscowość uzyskała prawa miejskie w roku tysiąc siedemset czterdziestym drugim, a w roku tysiąc dziewięćset szesnastym ucierpiała wskutek groźnego pożaru”.

Oboje odbyli długą podróż. Każde osobno. Umówili się w *Åndalsnesie*, stacji końcowej na trasie z *Oslo*. *Tomas* zjawił się parę dni wcześniej i zamieszkał w pensjonacie opodal przystani. Ostatni etap podróży, z *Åndalsnesu* do *Molde*, mieli odbyć wspólnie na pokładzie małego parowca „*Otterøy*”. *Tomas* wyszedł po *Annę* na dworzec późnym wieczorem. Pociąg dotarł punktualnie. Zjedli śniadanie w pensjonacie (tak byli zdenerwowani całą tą eskapadą, że z trudem cokolwiek przełknęli) i udali się na nabrzeże. *Tragarz* zajął się walizkami *Anny*. Skromny bagaż *Tomasa* był już na parowcu.

Od *Morza Norweskiego* wieje silny wiatr, rozbrzmiewa syrena, trap wciągnięty, cumy rzucone. *Parowiec* ostrożnie manewruje wśród frachtowców,

łodzi rybackich i żaglowców. W mrocznym, obitym pluszem i zalatującym pleśnią salonie Anna znalazła przewodnik po celu ich podróży – Molde, mieścinie w głębi fiordu.

Od miesięcy rozmawiali o tej wyprawie. Nareszcie dochodzi do skutku. Oficjalnie Anna udaje się z wizytą do przyjaciółki, Märty Gårdsjö, swojej jedynej powiernicy.

Do Molde mieli zjechać na kongres misjonarzy z całej Skandynawii, około stu mężczyzn i kobiet pracujących w Afryce i Chinach. Märta wróciła z Kongo i zatrzymała się u ciotki. Już dawno proponowała Annie spotkanie.

Gdy Anna spytała ją nieśmiało w liście, czy nie miałyby nic przeciwko obecności Tomasa, panna Gårdsjö odpisała, że oczywiście nie i że kongres przeniesiono do Trondheimu, gdzie w tamtejszej katedrze odbędzie się msza ekumeniczna. Anna i Tomas mieli zatem dwa dni dla siebie w starym domu ciotki, pani ministrowej, która bawiła właśnie w jednym z tyrolskich kurortów, lecząc swoje reumatyczne przypadłości.

Na „Otterøy” jest niewielu pasażerów. Anna i Tomas są w saloniku sami. Anna odkłada przewodnik i szuka dłoni Tomasa, zamyka oczy, zastanawia się, co czuje, i z niejakim zdumieniem stwierdza, że nic, zupełnie nic. No może tylko ssanie w dołku, bo rano nie mogła nic przełknąć.

Płyną pod wiatr, lustro fiordu połyskuje w ulewnym deszczu, parowiec zanurza się, na bulajach srebrzy się spieniona woda. Trzaski i chrzęsty. Nie-

spiesznie kołysze się mosiężna lampa. Z restauracji za ścianą dobiegają głosy kobiet. Chyba nakrywają do obiadu.

Tomas ma chłopięcą twarz, szczere brązowiebieskozielone spojrzenie, duże zacięte usta, pokazny nos i małe dziewczęce uszy. Gęste, zaczesane do góry włosy odsłaniają wysokie czoło. Jest wysoki i szczupły. Smukłe palce zdradzają pianistę. Ogryza paznokcie. Schludny, acz nieco znoszony garnitur wydaje się za mały, co dodatkowo podkreśla jego chłopięcość. Chętnie się śmieje. Dobrze panuje nad głosem, znając – jak na muzyka przystało – jego wartość. Mówi szybko, sprawnie formułuje myśli.

Anna ma na sobie sięgającą kostek spódnicę, w talii szeroki haftowany pasek ze skórzaną sprzączką, i bluzkę z dużym wykładanym kołnierzem i luźnymi rękawami ujętymi w mankiety. Włosy z przedziałkiem pośrodku, tak się wtedy czesała, świeżo umyte, więc niesforne. Na twarzy wypieki. Czyżby trawiła ją gorączka? Dotyka dłonią policzka. Jest rozpalony, tak, na pewno ma gorączkę.

Tomas do ostatniej chwili miał nadzieję, że Anna się nie zjawi, że zatrzyma ją choroba – jej albo któregoś z dzieci – że wyjazd Henryka zostanie odwołany. Przyszedł na stację godzinę przed przybyciem pociągu i nerwowo krążył po peronie. Prawdopodobność nie należała do jego najmocniejszych stron. A teraz, za chwilę, będzie musiał jej powiedzieć... no właśnie, co jej powie? Nocny pociąg z Oslo z łoskotem i przeraźliwym zgrzytem zatrzymał się na stacji. Zadrżała ziemia. On też. Długi wąż wagonów w deszczu, bu-

chająca parą lokomotywa, ożywienie, ruch na peronie. Najchętniej by uciekł. To ostatnia szansa, żeby uniknąć czegoś przytłaczającego, co go być może unicestwi. Ale... Stała za nim. Zawołała go ciepło i łagodnie, jakby przeczuwała, że się boi, i nie chciała go dodatkowo straszyc. Gdy się odwrócił i zobaczył ją tuż obok siebie, przerażenie gdzieś się rozplynęło. Na twarzy Anny malował się spokój. Lekko się uśmiechając, wskazała na dwie walizki. Powinniśmy poszukać tragarza. O, jest! Dzień dobry, proszę to zanieść na statek, który o drugiej odpływa do Molde. Już płacę. Aha, dopiero na statku... Tragarz układa walizki na wózku, na którym są już inne bagaże, i pisze na nich kredą „Molde”.

Gdy uporali się z bagażem, stoją naprzeciwko siebie, uśmiechnięci i poważni. Może byśmy się przywitali? Dzień dobry, Tomas. Dzień dobry, Anno. Podają sobie dłonie.

– Miło, że przyszedłeś. Mieliśmy się spotkać na statku.

– Czekałem kilka godzin. Chyba dwie.

– W nadziei, że nie przyjadę?

Anna wybuchła śmiechem i pospiesznie głaszcze Tomasa po policzku.

– No to chodźmy – konkluduje.

Łoskot silnika. Kołysanie. Trzeszczy drewno w salonie. W sąsiednim pomieszczeniu słyhać czyjeś głosy. Bryzgi wody na szybie.

– Czy nie będzie cię nękać choroba morska? – pyta Tomas.

– Raczej nie. Kiedyś, dawno temu, płynęliśmy

z mamą i z Ernestem przez kanał La Manche w czasie huraganu. Wszyscy chorowali z wyjątkiem Ernesta i mnie.

– Twoja mama też?

– Wierzyć się nie chce, ale ona też!

Milczenie. Zażyłość.

– No cóż, powinniśmy chyba omówić kilka szczegółów praktycznych.

– Tak też myślałem.

– Jak ci pisałam, możemy się zatrzymać u ciotki Märty, za miastem. Märta jest moją starą przyjaciółką, to jedyna osoba, która wie o nas, znamy się jeszcze ze szkoły pielęgniarzkiej, z Uppsali. Ponieważ przez najbliższe dni jej nie będzie, zostawiła dla nas klucz u pewnej kobiety, która mieszka koło przystani.

– Czy to źle?

– Wydaje mi się, że nie najlepiej. Gdyby coś się stało... wolałabym nie wciągać Märty w nasze problemy. Zatrzymamy się w hotelu, gdzie nie powinno być kłopotów z zachowaniem anonimowości. Co ty na to?

– Sam nie wiem... Tak nagle...

– Już zarezerwowałam dwa pokoje w „Stadshotellet”, dwuosobowy i pojedynczy.

– Ale ja nie mam...

– Tomas! To moja sprawa. Uparłeś się, żeby zapłacić za podróż, i wystarczy!

– Nie boisz się?

– Ile razy się nad tym zastanawiam, boję się. Dlatego się nie zastanawiam. Planuję, ale nie myślę. Jedno mnie tylko przeraża...



– No, powiedz...

– Przeraza mnie ogrom uczuć, jakie musimy z siebie wykrzesać, żeby usprawiedliwić nasze postępowanie. Być może nasza miłość temu nie podola.

– Tak sądzisz?

Anna podnosi do ust jego rękę, całuje.

– Masz miłe dłonie, Tomas. Na początku, to znaczy zanim się dobrze poznaliśmy, patrzyłam na nie ukradkiem i myślałam, że te dłonie...

– Tak?

– Nie, nie powiem. Pomówmy lepiej o innej praktycznej kwestii.

Anna puszcza dłoń Tomasa i z leżącej tuż obok na kanapie torby wyjmuje portfelik, z którego wyłuskuje ślubną obrączkę.

– To pamiątka po dziadku. Pożyczę ci ją na kilka dni. Byłoby czymś źle widzianym, gdyby pastor Egerman nie miał ślubnej obrączki. Nie uszłoby to uwagi personelu hotelowego.

– Myślisz o wszystkim.

– Jest ci przykro?

– Nie, nie. Ale obrączka... Nie wiem.

– Bądźże rozsądny, Tomas. To czysto praktyczne posunięcie. No, może odrobinę zabawne. Ciekawe, co powie dziadek, który jest w niebie.

– Ze ma wyjątkowo bezbożną i rozpustną wnuczkę.

– Weź obrączkę.

– Jeszcze coś...?

– Tak, to list do Märty, w którym dziękujemy jej za życzliwość i rezygnujemy z gościny.

Obrączka leży na otwartej dłoni. Tomas waha się. Anna wkłada mu ją na palec, lekko zniecierpliwiona.

– A teraz, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, na dwa dni znikniemy. Nikt nic nie wie. Nikt nic nie widzi. Jak we śnie. Byle tylko ten sen nie okazał się koszmarem.

– Płaczesz? – ledwie słyszalnie pyta Tomas.

– Nigdy nie płaczę. Przestałam dawno temu.

– Tęskniłem.

– Czasami myślę: Biedny Tomas, na pewno go przeraża ten ogrom uczuć. Jego i moich. Jeśli tęskni, to być może do czegoś innego... nie wiem... spokojniejszego, pięknego, wolnego od kłamstw. Nie, nie będę płakać, nie jestem smutna... Nie musisz mnie pocieszać.

Tomas otacza ją ramieniem i przytula. Anna ulega, ale tylko na chwilę, szybko wyzwała się z jego objęć. Nie, mówi stanowczo i kręci głową, nie będę się nad sobą rozczulać. To moje najlepsze godziny. Chodźmy popatrzeć na wzburzone fale i góry, na rufie z pewnością znajdziemy jakieś zaciszne miejsce. Chodźmy, Tomas!

W drodze do Molde parowiec „Otterøy” zawija do dwóch przystani. Najpierw kieruje się na wschód i wpływa do wąskiego głębokiego Langfjorden, by po godzinnym postoju w niedużej osadzie Eidsvåg, gdzie odbywa się załadunek i wymiana pasażerów, ruszyć na północ, do wioski rybackiej Vetøy. U celu, w Molde, powinien się zjawić o zmierzchu.

Tomas i Anna są w salonie sami. Drzemią skuleni na czerwonym, zalatującym pleśnią pluszu, przykryci płaszczami.

Parowiec stoi w Eidsvågu, siąpi deszcz. Góry dają dobrą osłonę przed wiatrem. Przytłumione hałasy towarzyszące wyładunkowi i załadunkowi, głosy nielicznych pasażerów i załogi. Cisza.

Nagle przed salonem słychać odgłos kroków. Po chwili ktoś puka do drzwi i nie czekając na zaproszenie, wchodzi. W salonie staje rosta kobieta około czterdziestki. Strój diakonisy, parasolka, kalosze, rękawiczki, solidna torba. Pogodna okrągła twarz, wysokie czoło, włosy starannie szesane do tyłu, oczyszeroko otwarte i intensywnie niebieskie. Mięsisty proporcjonalny nos. Wargi dziwnie nieregularne: kształtne pośrodku, nikną nagle, a ich kąciki podkreślają stanowczość. Kobieta nie jest ładna, ale nie można jej odmówić powabu. Gdy się uśmiecha (co właśnie teraz robi), wydaje się przemiła. Anna czerwieni się. Tomas pozostaje obojętny, choć być może da się wyczytać z jego twarzy pewne napięcie psychiczne.

– Märta! – mówi Anna.

– We własnej osobie – odpowiada Märta z silnym smålandzkim akcentem.

Opiera parasolkę o jedno krzesło, kładzie torebkę na drugim, na torebce rękawiczki, czepek na stole pod lampą, a potem rozpina długi płaszcz.

– Dzień dobry, Aniu, witam pana. Wyobrażam sobie, jak musicie być zaskoczeni. Zdrowo wyglądasz, Aniu. Rumieńce na policzkach...

Märta dosyć niezdarnie obejmuje Annę, po czym podaje rękę Tomasowi, który wstając przewraca filiżankę herbaty. Gdy się przywitani, przez chwilę stoją w milczeniu, speszeni.

– Może usiadzimy – nieśmiało proponuje Anna. – Napij się herbaty? Zaraz zamówię. Jak widzisz, mamy tu chleb, masło i coś do chleba, proszę... Możesz zresztą skorzystać z mojej filiżanki...

– Nie, nie, dziękuję. Jestem w Eidsvågu od kilku godzin i zdążyłam się już posilić w tutejszym pensjonacie. Ale, jeśli się pan nie obrazi, chciałabym porozmawiać z Anną na osobności. Macie kajutę? Nie? Tak też myślałam, dlatego proponuję, byśmy poszły do mojej. A w tym czasie pan Egerman mógłby, powiedzmy, coś poczytać. Na przykład moją lekturę podrózną.

Märta wyjmuje z torby opasłe dzieło.

– Proszę, tego pan z pewnością nie czytał. To „Ukryte życie miłości” Sørensa Kierkegaarda z tyśiąc osiemset czterdziestego siódmego roku w przekładzie i z komentarzami Torstena Bohlina.

– Chciałabym, żeby Tomas był przy naszej rozmowie. Koniecznie.

– Absolutnie konieczna jest rozmowa w cztery oczy.

– Posłuchaj swojej przyjaciółki.

Anna patrzy na Tomasa ze zdumieniem i kiwa głową: Dobrze, zgoda. Märta z nieco przesadną pieczołowitością zbiera swoje rzeczy. Wychodzą. Gdy drzwi się za nimi zamknęły, Tomas stoi przez chwilę niezdecydowany. W końcu siada na kana-

pie, wsuwa ręce do kieszeni spodni, gwizdże jakieś largo, a potem, zamknąwszy oczy, wsłuchuje się w bicie pulsu tuż za uchem i w pomruki silnika gdzieś we wnętrzu parowca.

Odbili od przystani. „Otterøy” nabiera szybkości, na szybach lśnią w ostrym majowym świetle krople deszczu. Nagły lęk, smutek: To nie jestem ja, to nie moje, jestem i będę biedny, jeszcze biedniejszy, ubogi. Błogosławieni ubodzy w duchu. Czy rzeczywiście jesteśmy błogosławieni?

– Żeby was dogonić, wsiadłam na szybszy statek, odpływający o szóstej rano. Chciałam wam osobiście przekazać klucz. Lepiej nie wtajemniczać pani Beck i uniknąć niepotrzebnych pytań.

– Zdecydowaliśmy się zatrzymać w hotelu. Już zarezerwowałam pokoje. Nie chcę mieszkać z Tomaszem w obcym domu... Obce pokoje, obce meble... Musisz mnie zrozumieć! Po raz pierwszy, a kto wie, czy nie ostatni, mamy okazję być naprawdę sami.

– Pokój hotelowy przy głównej ulicy w mieście ma być lepszy od zacisznego starego domu z ogrodem?! Cienkie ściany, wścibska obsługa i szydercze spojrzenia...

Anna siedzi na niskim stołeczku, oparta o ścianę, głowa spuszczone. Bawi się guzikiem przy mankiecie.

Kabina huśta się łagodnie, od czasu do czasu splukuje bulaj świetlista zielona woda.

– Jestem przygotowana – mówi Anna.

– Przygotowana? Jak to, przygotowana?

– Od dziesięciu lat. Był początek września. Pochmurny dzień. Stałam w oknie na plebanii, w pokoju wychodzącym na czarną rzekę. Zaczął sypać śnieg. Wszędzie panowała kompletna cisza, nigdzie śladu człowieka. Jakbym była sama na świecie. Mieliśmy z Henrykiem złe dni. On uparcie milczał, a ja go unikałam, odwróciłam się do niego plecami. Byliśmy małżeństwem od dwóch lat, mieliśmy synka. Dwa lata, Märto... I stojąc przy oknie, w ciszy, uświadomiłam sobie, co ja najlepszego narobiłam. Dobrze pamiętam, co sobie wtedy pomyślałam: Nie mogę tak żyć, to nie jest moje życie, mężczyzna, z którym jestem, nie jest moim mężczyzną, jedynie mój synek śpiący w wiklinowym łóżeczku ma prawo stawiać mi warunki. Zrozumiałam, że wszystko trzeba zburzyć. Było to tak oczywiste, że ogarnęło mnie uczucie radości. Czułam, że sobie poradzę, że wszystkiemu podołam. Na pewno będą łzy i udręka, ale się nie poddam. Nie zamierzam już dłużej patrzeć na tego gderliwego, zamkniętego w sobie człowieka. Nie będzie mnie już upokarzał swoimi małostkowymi pretensjami. Miałam dwadzieścia sześć lat i wiedziałam, czego chcę od życia. Zabrałam więc chłopca i pojechałam do Uppsali, licząc na to, że mama się ucieszy, bo od początku była przeciwna temu małżeństwu. Myślałam, że wracam do domu. Ale się przeliczyłam. Mama od razu dała mi do zrozumienia, że naturalnie mogę się u niej na kilka dni zatrzymać, nie będzie jednak

---

udzielała schronienia zbiegłej żonie, ponieważ powinnam być z Henrykiem, to mój obowiązek, dokonałam wyboru, a wybiera się tylko raz. Po trzech dniach wróciłam. Dwa lata później, na wiosnę tyśiąc dziewięćset siedemnastego, spróbowałam jeszcze raz. Wtedy Henryk po mnie przyjechał, a potem przeprowadziliśmy się do Sztokholmu. Byłabym niesprawiedliwa mówiąc, że nasze życie stało się piekłem. Przypominaliśmy parę koni roboczych, razem ciągnących wyładowany po brzegi wóz. Moja niewola była znośna. No i pojawił się Tomas. Blisko rok temu, na świętego Jana. I doszło do tak zwanego cudzołóstwa, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Nie było czasu na namysł, na głębszy oddech. A teraz ten nasz wyjazd. Nie było w tym nic z pochopności. Nasza wyprawa... nie bardzo wiem, jak to wyrazić... nasza wyprawa ma coś wspólnego ze śmiercią. Nie potrafię znaleźć właściwych słów... Czy nie jest tak, że doświadczenie własnej samotności sprawia dojmujący ból... myślę o samotności absolutnej, samotności w chwili śmierci, samotności dziecka. Wiem, Märto, ty ani przez chwilę nie jesteś sama. Jest z tobą Bóg. Moje wysiłki okazały się daremne, nigdy nie zaznałam uczucia wspólnoty, więzi. Samotna. I w tę moją samotność wkroczył Tomas. Teraz on i ja możemy powiedzieć: Nie jesteśmy samotni.

Anna śmieje się.

– Co by tu jeszcze dodać? Chyba tylko to, że humor mi dopisuje, choć nie czuję się najlepiej. Jestem śpiąca i wesoła. Jak mi dasz piłkę, pożyczę ci lalkę.

Przykro mi, ale chyba nie warto o tym wspominać, bo kogo to obchodzi?

– Dzisiaj rano, kiedy wyjeżdżałam z Molde, chodziło mi po głowie mnóstwo najróżniejszych myśli, ale – co dziwne – nie miały one nic wspólnego z moralnością. Byłam ciekawa, jak wygląda Tomas... Pamiętam go jako małego chłopca. Jego matka chciała zostać diakonisą, byliśmy w jednym wieku. Potem wyszła za mąż i urodził się Tomas... No tak, ale to nie ma nic do rzeczy. Byłam ciekawa Tomasa w dorosłym wydaniu. I chciałam ci dać klucz. Mam nadzieję, że cała i zdrowa wrócisz do domu i że wspólnie obmyślimy plan działania, na wypadek gdyby komuś przyszło do głowy nas wypytywać. Stęskniłam się za tobą. Traktuję cię jak młodszą siostrę, o którą powinnam się troszczyć. I jestem odrobinę zazdrosna. O Tomasa. Ale tym się nie zajmuj. Źle zrobiłam, przyjeżdżając tutaj tak zniechęcona. Chociaż to dla mnie dosyć typowe. Przeważnie jestem niezwykle rozsądna, ale czasami, ni stąd, ni zowąd, gdzieś mnie nosi. Przepraszam cię.

– Czy mogłabyś mi dać klucz?

– Co? Klucz?

– O nic nie pytaj. Daj mi, proszę, ten przeklęty klucz.

– Jest sobota, więc kupiłam wam wszystko, czego możecie potrzebować. Jest i opał, drewno do pieców kaflowych, węgiel i nafta.

Anna chowa klucz do torebki.

– Chodźmy do Tomasa. Pewnie jest zdziwiony.



---

– We wtorek rano, jak wrócę z Trondheimu, zajmę się domem.

Anna obejmuje przyjaciółkę. Przytulone, kołyszą się lekko. Czulość.

Willa Borkmanów, usytuowana około kilometra za miastem, u podnóża góry, stanowi ucieleśnienie obecnych w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia wizji przyszłości i radości tworzenia. W dużym zaniedbanym parku stoją wątpliwej jakości kopie klasycznych posągów. Leciwe drzewa owocowe już zakwitły, piaszczyste alejki toną w zeszłorocznych liściach, na rabatkach, przy południowej ścianie domu, mienia się wiosenne kwiaty.

Wchodzą kuchennymi drzwiami, jest sobota, siódma wieczorem. Deszcz ustał, ucichł wiatr, od zbrocza ciągnie przenikliwym chłodem. W oddali głucho szumi potok, stale przypominając o swoim istnieniu. Słońce chowa się za górę, chmury na zachodzie jaśnieją w jego blasku, łagodne majowe światło, żadnych cieni. Wszystko to w połączeniu z mocno nadwątlonym wykwintem dużych, przeładowanych meblami pokoiów, zapachem starych smutków i dawno zwiędłych bukietów róż przepelnia Annę nagłym poczuciem klęski. Senne żarówki bezlitośnie obnażają bezpowrotnie minioną świetność tego domu.

Siadają na zbyt miękkiej kanapie w salonie. Wysokie, zasłonięte ciężkimi kotarami okna wychodzą

---

na ogród, w majowym zmierzchu połyskują kwitnące drzewa. Biorą się za rękę: Jesteśmy daleko od domu. Spełniły się nasze marzenia. Może zawdzięczamy je pomysłowości demonów? Czy naprawdę tu jesteśmy? Czy to zuchwałość pozbawiła nas tchu i kolorów na policzkach? Co się z nami dzieje? Czy wpadliśmy w pułapkę, starannie i z rozmysłem zastawioną przez miłą sercu przyjaciółkę? Czy to śmieszne? Czy mamy się śmiać? A może płakać?

Nad zamartwianiem się, które nie ma nic wspólnego z umartwianiem, bierze górę zmysł praktyczny Anny: Musimy coś zjeść, a przede wszystkim czegoś się napić. Märta wspomniała o dwóch butelkach wina. Są w lodówce. Chodźmy stawić im czoło, przyjacielu. Chyba nas nie stracą o świcie, prawda? Przyjechaliśmy tutaj dla przyjemności.

Anna wybucha śmiechem, widząc ich smutne miny w upstrzonym przez muchy lustrze w złoconych ramach. Tomas, choć przerażony, też się śmieje. Nagła wesołość spowodowana nieoczekiwanym świadectwem lustrzanego odbicia przywraca uczucie bliskości. Tomas obejmuje Annę. Całuje. Ona poddaje się temu, ale już po chwili łagodnie, acz stanowczo uwalnia się z jego objęć. Głowa spuszczone, dłoń na ramieniu Tomasa: Nie, nie teraz, mamy mnóstwo czasu. Czy to nie zdumiewające?

Przed wielu laty ministrowa Borkman miała liczną służbę i prowadziła dom otwarty. Bywało tu wiele gości, mnóstwo krewnych, nieco mniej wybornych przyjaciół i kilku dobrze wychowanych pieczeniaryzy. Kuchnia była więc odpowiednio obszerna.

Z wyjątkiem jednego ogromnego pieca dominuje w niej liczba mnoga: spizarki, lodówki, zlewy, gazomierze, zegary, windy, dzwonki, rury głosowe, stoły, stoliki, stolnice, lampy naftowe, krzesła duże i małe, taborety, ławy, nagie okna wychodzące na warzywniak, podgrzewacze wody, pompy do zimnej wody, koryta na pomyje, przeszklone szafki, a w nich najróżniejsze, najpotrzebniejsze rzeczy, przybory kuchenne, zastawy do codziennego użytku i porcelana na szczególne okazje, srebra i ceramiczne wazy.

Usiedli naprzeciwko siebie przy dużym stole o wypucowanym drewnianym blacie. Jedzą i piją. Palą się świece. Butelki, jedna już opróżniona, w kieliszkach wino. Tak, Tomas, troszkę się upiłam. Urodziłam się pod znakiem Lwa, a trzeba ci wiedzieć, że nie było to wczoraj, jestem nieodrodną córką swojej matki, która, widzisz, nie należy do strachliwych. Boisz się mnie, Tomas?

– Czasami. Tak, czasami się boję.

– A czego?

– Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym.

– Aha, nie zastanawiałeś się.

– Boję się, kiedy...

– Kiedy biorę nad tobą przewagę?

– Coś w tym rodzaju.

– Jeszcze wina?

– Tak, dziękuję. Jest cudownie.

– Tak, cudownie. Zapomnijmy o jutrze. Nigdy już nie będziemy niczego planować.

– Żałujesz, że tu przyjechaliśmy?

– Nie. Tak, ale to nie to, co myślisz.

– A co?

– Nie powiem.

Anna całuje go w rękę i dotyka nią policzka, całuje raz jeszcze i dotyka czoła.

– Chodźmy, najdroższy! Chodźmy do sypialni ministrowej, zanim opuści nas odwaga.

Inny pokój z pewnością byłby odpowiedniejszy, ale Märta przygotowała dla nich łóżce ministrowej. Ogrzała sypialnię i posprzątała. Na ścianach kosztowne tapety w róże, w kącie połyskujący zielenią piec kaflowy w kształcie wieży, zwieńczony muszlami i splotami morskiej trawy, pośrodku majestatyczne czarne łóżce z udrapowanym baldachimem, pierzyny i puchowe poduchy. Obrazy o tematyce wiejskiej: żniwa, dorodne konie, baraszkujące dzieci w strojach ludowych. I portret świętej pamięci ministra: korpulentnego, postawnego mężczyzny o władczym spojrzeniu. Siwe włosy, bujne bokobrody i broda, okazały nos. Na świetnie skrojonym służbowym surducie roi się od krajowych i zagranicznych odznaczeń. W wysokich oknach haftowane jedwabne zasłony. Za oknami wiosenny zmierzch.

Łukowo sklepiony sufit zdobią stiuki. Nad drzwiami do saloniku i znakomicie urządzonej toalety unoszą się w powodzi girland kwiatów gipsowe cherubiny.

Owo mauzoleum przesiąknięte modlitwami, smutkami, łzami, grzesznymi żądzami i wybuchami gniewu pani Borkman zalatuje rozgotowanym kalaflorem i czymś jeszcze, co może przywodzić na myśl

dawno temu zmumifikowane myszy. Unosi się także ledwie wyczuwalny zapach ciężkich, piżmowo - różanych perfum ministrowej.

Anna zatrzymuje się w progu i parska śmiechem: Nie, to nieprawda! Co ty na to, Tomas? Klaszcze w dłonie, obejmuje Tomasa w pól i wprowadza do sypialni. Światło! Więcej światła!

Podchodzi do okna i rozsuwa zasłony. Ciepły blask majowego wieczoru wydobywa z cienia zegar o połączonych wskazówkach, którego dwie kolumnienki jońskie zdobią leśne kwiaty, marmurowy posążek nagiej kucającej dziewczyny z uniesioną głową, bogato ornamentowane biurko, japoński parawan z cienkiej przezroczystej tkaniny i przeszkloną biblioteczkę, zapełnioną książkami w twardej oprawie.

W takiej scenerii mają spędzić noc. Kochankowie, których dotychczasowe doświadczenia ograniczały się do podszytych łękiem spotkań w lichym pokoju studenckim. Swojej nagości mogli się jedynie domyślać, oglądając się w mokrych kostiumach kąpielowych. Po omacku zgłębiane tajemnice, żarliwe uściski, pocałunki aż do krwi, krótkie chwile bliskie zatracenia, a wszystko razem powierzchowne, nieporadne, pospieszne.

Są speszeni, ich ciała nigdy nie opanowały tego samego, wspólnego języka. Dlatego muszą się zdać na intuicję Anny. Rozbierzemy się, każde osobno. Ja w toalecie, a ty w saloniku. Tylko nie zapalaj światła, bo okno wychodzi na drogę, i jak ktoś cię zobaczy, to jeszcze zaczniesz się zastanawiać, co też

ministrowa na stare lata wyprawia. Tomas zgadza się z uczuciem ulgi. Tak, tak zrobimy. Jest zadowolony, że to Anna przejęła inicjatywę.

Anna rozbiera się w żółtym świetle żarówki o kształcie konwalii, zawieszanej wysoko, w głębi toalety pani Borkman. Wąskie lustro na drzwiach odbija całą jej sylwetkę. Wyjmuje szpilki, kok rozsypuje się, gęste włosy spływają na ramiona i plecy, w matowym blasku lśni biała koronkowa bielizna: sięgające kolan majtki, u dołu ściągnięte tasiemkami, a w pasie szeroką gumką, i obcisły stanik, który właśnie rozpina, uwolniwszy uprzednio podwiązki od ciemnych jedwabnych pończoch. Halkę, lekko wciętą w talii, zdobią u góry szerokie koronki, a u dołu haftowana lamówka. Anna jest naga, jeśli nie liczyć ślubnych obrączek, medalionu na złotym łańcuszku i brylantowych kolczyków. Wyraźnie odbija się w lustrze jej młode zgrabne ciało: szczupłe ramiona, nadgarstki, krągłe uda i brzuch ze śladami po trzech porodach. Obiektywna, acz podszyta emocjami inspekcja. Byle tylko nie dać się ponieść irracjonalnym odczuciom. Koszula nocna, mówi głośno i wyraźnie, i wkłada prostą flanelową koszulę. Przemyślany, mądry wybór. Niewinność i czystość, a w sercu burza uczuć. Nie myśleć. Może powinna się załatwić. Tak, koniecznie. Muszla klozetowa pani ministrowej stoi na niewielkim podwyższeniu pod krótszą ścianą. Z obu stron lśnią mosiężne poręcze.

Tomas rozebrał się i siedzi w saloniku na brzeżku wyściełanego jedwabiem krzesła. Chłopięce cia-

ło, szerokie bary, muskularne ramiona, wysoka, bezwłosa klatka piersiowa, płaski brzuch, kępka rudawych włosów na podbrzuszu, szczupłe pośladki, długie nogi. Stopy małe, palce zadbane. Prawe biodro jest nieco bardziej wysunięte – skutek paraliżu dziecięcego. Starannie się uczesał i żeby się uspokoić, pali fajkę. Nie jest jednak spokojny, ponieważ zostawił koszulę nocną w walizce, a walizka leży na krześle w sypialni. Nie może tam wejść nago, nie pokaże się także w samych kalesonach ani w koszuli. Jeśli Anna go tak zobaczy, magia białego wina ustąpi pola trywialności. Nie dopadnie w paru susach łóżka, żeby co prędzej wskoczyć pod pierzynę, bo kłóciłoby się to z wyraźnymi instrukcjami Anny. Zastanawia się, czy się nie ubrać, pójść po koszulę, przeprosić Annę, rozebrać się w saloniku i włożyć koszulę. Ale w ten sposób zburzyłby szczególny nastrój.

Anna siada na puszystym łożu i machinalnie szczotkuje włosy. Gdy cicho woła Tomasa, ten natychmiast otwiera drzwi: Jest w długim, starannie zapiętym płaszczu.

Oboje są bezradni i bezbronni. Wobec siebie i wobec majestatycznego łoża, przepychu sypialni, emocji towarzyszących podróży, nagości, tłumionego poczucia winy. Ich jedynym orężem jest miłość. Wdali się w ryzykowną podróż. Obudzili tajemne siły. Teraz są u kresu. Anna siedzi w skromnej koszuli nocnej, w prawej dłoni trzyma szczotkę do włosów, Tomas stoi przy drzwiach, bosy, w podniszczonym płaszczu.

Sypialnię rozjaśnia blask wiosennej nocy, słabe światło lampy i chybotliwy płomyk świecy stojącej na nocnym stoliku z lewej strony łóżka. Anna, być może opanowując drżenie głosu, prosi Tomasa, by zdjął płaszcz. Wejdą do łóżka i przytulą się do siebie. Tomas gasi lampę, Anna zdmuchuje świecę. Leżą pod pierzyną, objęci. Nie jest im wprawdzie zbyt wygodnie, ale to nic. Tomas muska jej włosy. Z pewnością trudno im oddychać. Za firanką jasna noc. Jeśli nie zamykają oczu, przestraszeni, mogą się widzieć. Tomas chce, żeby Anna na niego spojrzała. Patrzmy na siebie, Anno. Kładzie mu głowę na ramieniu, podnosi wzrok, niełatwo...

Zasypiają wyczerpani psychicznie, boleśnie niezaspokojeni.

Znów zaczyna padać, łagodnie, uspokajająco. Zasnęli, nie zbliżywszy się do siebie bardziej niż dotychczas. Można im współczuć. Przydzielili sobie role nie do zagrania. Dysponują jedynie chłodnym oglądem sumienia, poczuciem winy wobec bliskich i co być może najstraszniejsze, wobec ponizzonego Boga. Nic nie mają na swoją obronę. Są bezbronni.

Śpią kilka godzin. Pada deszcz. Za oknami ciemno. Ciemno w sypialni. Tomas budzi się w ramionach Anny, Anna rozchyła wargi do pocałunku, daremnie, głowa Tomasa opada na poduszkę, Tomas oddycha ciężko. Anna nie reaguje, nie mają sobie nic do powiedzenia, brakuje im słów, pewnie pojawią się później, górnolotne frazy z powieści, ponieważ wszystko musi być wielkie, nadzmysłowe. Anna chciałaby się uwolnić od przy-



gniatającego ją ciężaru jego ciała. Powinna się umyć. Nie, lepiej mu nie przeszkadzać, lepiej go nie budzić. Leży więc bez ruchu, oddycha cicho, obejmuje go.

Tomas śpi jak dziecko, głęboko i bezgłośnie, z otwartymi ustami. Pachnie snem. Cierpi na niezżyt żołądka. Annie jest to zimno, to gorąco, chciałaby się załatwić, uda lepią się od spermy, której zapach przyprawia ją o mdłości. Nie ma jednak odwagi się ruszyć. Jeszcze nie teraz. Jakby chciała za wszelką cenę opóźnić moment gorzkiego rozczarowania.

Nic nie można tu dorzucić ponad to, że o świcie pada deszcz, wokół cisza (żadnych ptaków) i zapach obcego pokoju.

– Tomas!

– Tak?

– Chcę wstać.

– Oczywiście.

– Przesuń się.

Anna siada, obiema dłońmi odgarnia z czoła zmierzwiłone włosy. Czoło rozpalone, rozpalone policzki. Zimno jej. Tomas oddycha głęboko.

– Jeszcze pośpię.

Nic dodać, nic ująć. Anna dotyka jego twarzy i ramienia, wstaje i otwiera drzwi do wyiębionej toalety ministrowej Borkman.

Kiedy jako tako odświeżona wraca do sypialni, Tomasa nie ma w łóżku. Wsuwa się pod ciężką pierzynę, nie czuje się dobrze, od żołądka w górę przenikają ją silne dreszcze. Dzwoni zębami. Chyba

mam gorączkę. Na moment zamyka oczy, przypuszczalnie zasnęła. Tomas siedzi na krześle przy drzwiach. Jest ubrany. Błada twarz, łzy w oczach.

– Wyjeżdżam. Za dwie godziny mam statek do Åndalsnesu, w niedzielę odpływa godzinę później, o siódmej. Pójdę do przystani pieszo, to niedaleko. W przedpokoju znalazłem rozkład jazdy. „Otterøy” wypływa o siódmej. Potem mam pociąg o piątej po południu. Osobowy, zatrzymuje się na wszystkich stacjach. W Oslo będę w poniedziałek rano. Stamtąd jest już dużo połączeń, do Sztokholmu powinienem przyjechać około siódmej wieczorem, a najpóźniej o dziewiątej będę w Uppsali.

Anna odrzuciła pierzynę, siedzi na łóżku z podciągniętymi kolanami. Jest jej gorąco. Oczy zamknięte, rozpalone policzki.

– Nie jedź.

– Trzeba być szczerym.

Anna oddycha głęboko, wpatruje się w Tomasa.

– Co masz na myśli?

– Dokładnie to, co mówię – odpowiada Tomas.

– Powinienem być szczerzy, a ze zgrozą stwierdziłem, że nie jestem.

– W jakim sensie nie jesteś? – ledwie słyszalnie pyta Anna.

– Powinienem był sobie uświadomić własną ułomność. Powinienem był ci powiedzieć, że ten nasz wyjazd to pomyłka. Może nie w twoim wypadku, ale w moim. Nie dla mnie takie zrywy. Jestem przeciętny... szary. Właściwie wiedziałem o tym od samego początku, ale kiedy przejęłaś inicjatywę,

stchórzyłem, nie chciałem cię martwić, chociaż nie wątpiłem w swoją niedostateczność. Zawsze taki byłem.

Tomas ma łzy w oczach, pociąga nosem, przesuwa dłonią po twarzy. Anna namyśla się, sprawa jest poważna, musi zgrać słowa z intonacją.

– Nie rozpaczaj. Albo przynajmniej pozwól, byśmy wspólnie porozpaczali. Masz absolutną rację, że wdaliśmy się w coś zbyt niebezpiecznego. Ale jeśli będziemy razem, możemy wszystko naprawić.

Anna ożywia się, dreszcze ustąpiły, pospiesznie wychodzi z łóżka i staje przed Tomaszem na wzorzystym dywanie.

– Masz takie małe stopy – szepce Tomasz i smutno się uśmiecha.

Rano, dwudziestego szóstego maja, przyjeżdża do Molde nocnym statkiem z Trondheimu Märta Gårdsjö. Od razu, nie czekając na autobus, udaje się taksówką do willi ministrowej Borkman, żeby sprawdzić, czy kochankowie nie zostawili aby jakichś kompromitujących śladów. Wiatr przegnał deszczowe chmury i rozproszył mgłę, świeci słońce, w starym ogrodzie rozkwitło jeszcze kilka drzew.

Wchodzi kuchennymi drzwiami. Wszystko wydaje się w jak najlepszym porządku. Wiesza płaszcz w przestronnym holu, ostrożnie zdejmuje nakrochmalony czepiec, przygląda ciemnobrązowe włosy,

kładzie torbę na krześle i odwraca się w kierunku salonu opromienionego wiosennym światłem poranka.

W drzwiach stoi Anna. Dłoń na futrynie, powieki spuchnięte od płaczu i z braku snu, włosy nie dbale zaczesane do góry. Ma na sobie płaszcz, bluzkę z czesuczy i ciemnoniebieską spódnicę. Nad kolanem wyraźnie widoczna plama.

Märta nie może wyjść ze zdumienia: Anna?! Jeszcze tu jesteś?? Myślałam, że wyjechałaś wczoraj! Milknie, szybko do niej podchodzi, obejmuje. Anna zamyka oczy, nie protestuje, obie osuwają się na podłogę. Nic nie mówią, żadnych łez ani wyjaśnień. Märta tuli strapioną przyjaciółkę w ramionach. Siedzą na chłodnym parkiecie w ostrym świetle wpadającym przez szyby salonu. Po chwili Märta pyta łagodnie, czy Anna powiadomiła matkę, że będzie później. Nieznaczne skinienie głową. Tak, zadzwoniła w poniedziałek, z samego rana. Po tej informacji wypowiedzianej bezbarwnym, matowym głosem zapada długa cisza. Wreszcie Märta proponuje Annie, żeby się położyła. Na pewno dobrze jej zrobi filizanka gorącej herbaty. Podchodzą do kanapy. Annie jest zimno. Kładzie się, głowa odwrócona, ramieniem zasłania twarz. Märta przykrywa ją pledem sprzed kominka. Napijesz się czegoś? Anna nie odpowiada, zasypia.

Przez najbliższe godziny Märta krząta się po mieszkaniu. Przynosi filizankę ziołowej herbaty z miodem i stawia ją na krześle u wezglowia kanapy. Pospiesznie lustruje pomieszczenia na piętrze

i sypialnię. Wszędzie nienaganny porządek, w mrocznych pokojach wszystko jest na swoim miejscu, ani śladu uczuć. Walizki Anny stoją spakowane przy drzwiach. Zdjęła nawet kapelusz z półki. Najwyraźniej była już gotowa do drogi, ale nie starczyło jej sił.

Anna budzi się o trzeciej po południu i nieco chwiejnie idzie do toalety. Długo się załatwia i myje twarz zimną wodą. Potem, jak mała chora dziewczynka, która pilnie stosuje się do wszystkich zaleceń dorosłych, pije herbatę. Märta przegląda w bibliotece tom powieści Bjørnstjerne Bjørnsona. Widząc, że Anna już nie śpi, odstawia książkę na półkę, wchodzi do salonu i siada na krześle przy oknie.

Słońce oświetla teraz południowo - zachodnią ścianę domu. W dużym, przeładowanym meblami pokoju jest półmrok.

Anna, otulona płaszczem, pije herbatę.

Przyjaciółka milczy.

Anna ostrożnie stawia filiżankę na krześle, wyciera usta wierzchem dłoni, osuwa się na miękkie oparcie kanapy, zzuwa haftowane kapcie i okrywa się pledem.

- Ciagle ci zimno?

- Nie, już dobrze.

- Napijesz się jeszcze?

- Nie, dziękuję.

- Jak się czujesz?

- Raczej dobrze. Tylko ząb mnie pobolewa.

- Spałaś sześć godzin.

- Która teraz?

– Dochodzi wpół do czwartej.

Märta patrzy na mały złoty zegarek na łańcuszku, który nosi w kieszonce na piersiach.

– Chyba wczoraj wieczorem zażyłam brom. Znalazłam go w nocnej szafce ministrowej. Ale i tak nie mogłam zasnąć. Prawie całą noc chodziłam. Zwymiotowałam na spódnicę. Próbowałam zmyć plamę, ale bez skutku. A potem siedziałam.

– Masz drugą spódnicę?

– Mam.

Wyczerpały wszystkie tematy. Märta cierpliwie czeka. Jej pacjentka ziewa. Zamyka oczy.

– W niedzielę rano Tomas wybrał się na spacer. Powiedział, że chce być sam. Poszedł na przystań spytać o godziny odjazdu statków. Kiedy wrócił, oświadczył, że po południu płynie statkiem pocztowym do Åndalsnesu. Pożyczył sto koron i wyjechał. A ja zostałam.

Anna śmieje się cicho, odwraca głowę, oddycha głęboko.

– I co robiłaś?

– To było w niedzielę, a dzisiaj, jak mówisz, jest wtorek. Nie wiem. Wszystko mi się zlewa. Zdaje się, że głównie chodziłam po pokojach. Co było całkiem ciekawe.

– Jutro rano jedziesz do domu.

– Przepraszam, jadę do domu? Nie wiem. Może.

– Oczywiście, że jedziesz. Odprowadzę cię, jeśli chcesz. Przypilnuję, żebyś wsiadła do pociągu i tak dalej.

– Będzie, jak zechcesz.

– Student zapomniał nut.

– Miał grać w kościele, dlatego je tu przywiózł.

Ale nic z tego nie wyszło. Ach, jak boli...

– Co cię boli?

– Ząb. Dzień przed wyjazdem byłam u dentysty.

Masz magnecyl albo coś w tym rodzaju?

– Tak, w torbie, zaraz przyniosę. Chyba zostawiłam ją w holu... O, jest. Zobaczymy, jestem pewna, że... tak, wiedziałam, że mam. Popij herbatą, jeszcze trochę ci zostało. O, tak.

Anna chwyta dłoń Märty, przytula ją do policzka i mruczy, że jest jej dobrze. Jest mi dobrze, bo mam serdeczną przyjaciółkę, która o nic nie pyta.

– No to załatwione. Wyjeżdżamy jutro rano.

– Jedno wiem na pewno.

– Co wiesz?

– Wiem, że bardzo skrzywdziłam Tomasa, zmuszając go do tej podróży.

– Przecież mógł się nie zgodzić.

– Jak? Byłam taka zapalona, podniecona. Miał pewne zastrzeżenia. Skromne, drobne wątpliwości.

Śmieje się. Cicho, obco. Siedzi skulona na brzuchatej kanapie przykrytej białym letnim pokrowcem, głowa na bogato haftowanej poduszce. Po szyję otulona włochatym pledem pani ministrowej. Märta usadowiła się obok, dłoń na stopie przyjaciółki.

– Najgorsze ze wszystkiego, najgorsze...

– Tak?

– Wiesz, co było takie straszne?

– No?

– Zobaczyłam twarz Henryka. Czy zastanawiałaś się kiedyś nad tym, że nie pamiętamy twarzy osób, które widzimy na co dzień? Próbuję sobie przypomnieć twarz mamy... twoją albo dzieci... i nic. Kiedy śni mi się ktoś bliski, kogo dobrze znam, wiem, że to on, chociaż najczęściej ma inną, obcą twarz. Tymczasem tutaj, gdy tak chodziłam po pokojach... chyba w niedzielę wieczorem, bo... nie, w poniedziałek wieczorem... a może w... nie, nie wiem... nagle zobaczyłam Henryka. Zrobiło mi się potwornie przykro, bo wyglądał całkiem inaczej... Ani śladu władczego spojrzenia, złości, skargi czy płaczliwego rozmamłania. Ani śladu maski. Nie był to ten Henryk, który czegoś żąda, jest straszny albo zwyczajnie głupi. Mimo że zobaczyłam inną twarz, wiedziałam, że to Henryk. Ale nie ten, którego kochałam przed laty, kiedy byliśmy młodzi, i na jego twarzy malowała się łagodność, radość, niepewność i czułość. Nie, zobaczyłam twarz osiemdziesięcioletniego starca. Nie był zjawą, nie stał przede mną, jego obraz trwał pod powiekami. Bardzo wyraźny, natrętny. I bolesny. Chciało mi się płakać, ale tylko patrzyłam, wpatrywałam się, nie mogłam tego znieść. W jego twarzy widziałam przegromny smutek, bezbronność i determinację, widziałam stare dziecko, które jest mi przypisane. I myślę, że zadawanie mu ran to część mojej roli. Te rany nigdy się nie zagoją, będą wiecznie zagnione, dojmujące. On wczepia się we mnie, boję się, jestem wściekła i w obronie zagrożonej wolności zadaję mu cios śmiertelny. Mogłam go zabić.

---



A bronią jest Tomas.

Anna jest opanowana, mówi spokojnie. Oko cyklonu. Czas jak we śnie.

– A Tomas?

– Tomas mnie opuścił, ale ja go nie opuszczę.

Głowa opada na haftowaną poduszkę. Anna otula pledem ramiona. Zobaczę, co mamy na obiad, mówi sucho Märta i wychodzi do kuchni.

Na ławie przy kanapie leży ślubna obrączka dziadka.

## Rozmowa piąta październik 1934

Niedziela, 14 października 1934 roku, jedenasta rano. Miejsce – Uppsala, róg Övre Slottsgatan i Skolgatan. Od rana pada deszcz, przenikliwie zimny wiatr znad równiny przynosi zapowiedź pierwszych śniegów. Chmury się rozstępują i nad Collegium Gustavianum\* pojawia się spowite w cieniutkie welony słońce. Dzwony katedry i kościoła św. Trójcy zapraszają na uroczystą mszę. Na ulicach pusto.

Przed bramę na Skolgatan 14 podjeżdża taksówka. Anna wysiada, wyjmuje z torebki zamszową portmonetkę z posrebrzonym zapięciem i płaci kierowcy koronę i dziesięć öre plus dwadzieścia pięć öre napiwku. Taksówkarz, mężczyzna o czerwonej twarzy i obwisłych wusach, w milczeniu kiwa głową, po czym wrzuca bieg i znika w obłokach dymu.

Anna stoi przez chwilę, zamysłona. Ma czterdzieści pięć lat, niewiele się zmieniła, przybyło jej tylko nieco zmarszczek wokół oczu, wargi są odrobinę szersze, miękkie. Nos poczerwieniał od wiatru. Poważne, badawcze spojrzenie. Na czole pozioma bruzda. Trzyma się prosto, jest w eleganckim

\* Średniowieczny pałac biskupi, w XVII w. przebudowany na uniwersytet, obecnie muzeum (przyp. tłum.)

palcie, w czarnym kapeluszu z woalką, w botkach. Na dłoniach rękawiczki.

Odruchowo patrzy na zegarek, choć wie, że jest pięć po jedenastej, ponieważ właśnie umilkły kościelne dzwony. Przyjechała za wcześnie, nie chce jednak czekać i po krótkim spacerze Slottsgatan wchodzi do kamienicy. Z pewnym wysiłkiem otwiera drzwi. Przestronna klatka schodowa, na marmurowych schodach chodniki, kolorowe szyby, zdobna w ornamenty brama wiodąca do oficyny. Na suficie motywy secesyjne i duże miedziane lampy o matowych kulistych kloszach. Pachnie farbą i śniadaniem.

Anna szybko pokonuje dwa piętra i dzwoni do białych przeszklonych dwuskrzydłowych drzwi po prawej stronie. Otwiera wysoka szczupła kobieta. Ma siedemdziesiąt lat, bystre niebieskoszare oczy, wysokie czoło, mały kształtny nos, wąskie wargi i nieco obwisłe blade policzki. Włosy rzadkie, szesane do tyłu i upięte w prosty kok. To Maria.

– Anna! Jak miło, że już jesteś! Wejdz, wejdz! Cieszę się, że cię widzę. Jak zawsze piękna. Tu masz wieszak, poczekaj, powieszę. Pocałuj mnie.

Anna przeprasza, że zjawiała się za wcześnie, szczerze odwzajemnia powitalny pocałunek, siada na białym wiklinowym krześle, ściąga botki i ustawia pod ubraniami. Potem przygląda niesforne włosy, dosyć hałaśliwie wyciera nos i starannie go pudruje.

– Ledwie się zacznie jesień, natychmiast czerwienieje mi nos, miałam to już w dzieciństwie.

Lustracja i względne zadowolenie. Ciemnoniebieska, sięgająca łydek wełniana sukienka z guzikami, szerokie rękawy ujęte w koronkowe mankiety, okrągły koronkowy kołnierzyk. Kamea i małe brylantowe kolczyki.

– Jakub śpi. Rano doktor Petréus dał mu zastrzyk morfiny. Będzie spał mniej więcej godzinę.

– Jak wujek się czuje?

– To już koniec. Doktor mówi, że to kwestia dni. Czasami jest bardzo źle. Ma bóleści i wtedy pomaga wyłącznie morfina. Między atakami nie jest najgorzej, coś tam nawet zje, ale przeważnie tylko pije. Mleko, bulion... szampana.

Maria uśmiecha się. Dyskretny gest dużej szczupłej dłoni.

– Nie przerażaj się. Nie toniemy w żałobie. Mimo cierpienia i fizycznej udręki, a także pewnego zniecierpliwienia, że śmierć tak długo karze na siebie czekać, nie pograżamy się w smutku. Ani ja, ani Jakub.

– Czy wujek na pewno jest w stanie się ze mną spotkać?

– Codziennie o tobie mówi. Gdyby nie to, nie zadzwoniłabym. Chyba rozumiesz.

– Serdeczne pozdrowienia od Henryka. Nie mógł przyjść, jest na mszy.

– O to właśnie chodziło. Jakub prosił mnie, żebym sprawdziła, kiedy Henryk odprawia nabożeństwo i...

Maria tajemniczo się uśmiecha, wyjmuje papierosa ze srebrnej szkatułki stojącej na okrągłym stole w salonie i od razu go zapala.

---

- Nie proponuję ci, bo o ile wiem, nie palisz. Pozwolisz...?

Anna z uśmiechem kiwa głową. Maria odchyła się w małym zielonym fotelu. Charakterystycznym gestem wsuwa prawą dłoń pod plecy, w lewej trzyma papierosa, tuż przy ustach.

- W piątek było źle. Potwornie spuchł mu brzuch, wręcz do groteskowych rozmiarów. Doktor Pertréus ściągnął litry płynu, co przyniosło mu dużą ulgę. Najgorsze są jednak wymioty żółcią. Pojawiają się falami, towarzyszą im duszności i skurcze. Jesteśmy bezsilni... doktor, pielęgniarka i ja... nic mu nie pomaga, ani morfina, ani nic... Wszędzie są przerzuty, rak się rozszalał.

Maria milknie i patrzy w sufit. Potem patrzy na Annę. Czyste pogodne spojrzenie dużych szaroniebieskich oczu. Ostre promienie październikowego słońca rozjaśniają jej bladą twarz. Nie, nie płacze.

- Jesteśmy razem od blisko pięćdziesięciu lat. Pobraliśmy się, kiedy miałam dwadzieścia jeden lat. Gdybyśmy mogli się spotkać po śmierci, gdyby istniała taka możliwość... łatwiej byłoby znieść to tutaj... Śmierć przyniosłaby nam ulgę, Jakub uwolniłby się od cierpienia, a ja od nieznośnego oczekiwania. Ale cóż, śmierć jest tylko śmiercią. Pozbawiona tajemnic i miłych niespodzianek. Czy wiesz, co przynosi mi pociechę w strapieniu? Myślę sobie, że rozstanie byłoby o wiele bardziej bolesne, gdyby nasze małżeństwo było nieudane. Żyliśmy w radości i...

Maria dopala papierosa, gasi go w małej popiel-

---

niczce i wstaje. Wygląda spódnicę na wystającym, sękatym biodrze.

– To miłe z twojej strony, że mnie wysłuchałaś. Przyznam, że niechętnie o tym mówię. Zajrzę do Jakuba. Może się już obudził.

Odwraca się przy drzwiach i dodaje mimochodem:

– Zapomniałam ci powiedzieć, że po południu wpadnie do nas ksiądz dziekan Agrell. Jakub chce przyjąć komunię. Przyjdę po ciebie za parę minut.

Biblioteka. Duże, zastawione regałami pomieszczenie o dwóch oknach wychodzących na Övre Slottskatan. Pośrodku okazałe, zagracone biurko. Wąskie drzwi prowadzą do pokoju, w którym widać łóżko. Wysokie wezglowia. Przy bibliotecznym stole, na krześle z wysokim oparciem i solidnymi poręczami siedzi Jakub. Jest wymizerowany. Ciemny garnitur jest zbyt obszerny, biały sztywny kołnierzyk o kilka numerów za duży. Dłonie położył na poręczach, duże, bezradne, wokół nadgarstków zbyt luźne mankiety. Za to węzeł krawata wygląda nienagannie, pantofle błyszczą, siwe wąsy zadbane. Ani śladu zbliżającej się śmierci.

Anna całuje Jakuba w policzek, obejmuje go, jego i krzesło, oboje są wzruszeni i dosyć niezdarni. Jakub tuli jej głowę do ramienia.

– Kochana Anna, jak to dobrze. Kochana Anna. Nic się nie zmieniłaś.

– Dawno się nie widzieliśmy. Prawda, że dawno?

– Czekaj, niech no się zastanowię. Widzieliśmy się w kościele Świętej Jadwigi Eleonory dwa... nie, trzy lata temu. Henryk odprawiał mszę. To była ostatnia niedziela roku trzydziestego pierwszego, przysłaś ze swoimi dziećmi i z jakimś niemieckim chłopcem...

– Tak. Z Helmutem.

– Geograficznie oddaliśmy się od siebie, nawet jeśli odległość nie jest tak... Tak, geograficznie. Ale, jakby to powiedzieć, nie ma to znaczenia. Uczuciowego znaczenia. Często o tobie myślę.

– A ja myślę o...

Przyglądają się sobie. Z bardzo bliska. Widzą jedynie niewielką część swoich twarzy. Anna w nagłym przyływie czułości głaszcze Jakuba po czole.

– Nie będę się zalił. Dobrze mi w mojej biedzie. Tylko że to tak długo trwa. Guzdrze się ten tam... Pewnie dlatego, że zawsze byłem niecierpliwy i leniwy. I teraz muszę się męczyć. Godzina za godziną, minuta za minutą... Ale chcę być na nogach, ubrany. Najczęściej siedzę. Wtedy łatwiej mi oddychać. Chociaż czasami trudno tutaj wytrzymać, wśród tych wszystkich książek. Maria otwiera okna, wpuszcza chłodne powietrze. Mam silne serce. Trwa to i trwa. Pewnego wieczoru moje serce oszalało, przestało bić, namyslało się i już miałem nadzieję, że teraz, że wreszcie! Ale nie. No i stałem się morfinistą. To najlepsza rzecz w całej tej mizerii. Widzisz, moja wesołość i gadatliwość bierze się stąd, że dostałem zastrzyk i czuję się jak w raju. Nie wyobrażam sobie

większej łaski. Najpierw ból i udręka, a potem żadnego bólu i euforia. Czas dobry i czas zły. Maria czyta mi po kilka godzin dziennie... sam jestem zbyt zmęczony i rozkojarzony... Czytamy „Drottningens juvelsmykke”\*. Czasami odwiedza mnie organista z katedry... zaraz, zaraz, jakżesz on się nazywa... Widzisz, jaki jestem rozkojarzony...? A, Axel. Axel Morath. Przychodzi pograć na fortepianie, tam, w salonie. Gra Bacha, przeważnie *Das wohltemperierte Klavier*. Nie odczuwam jednak potrzeby czyjegoś towarzystwa, to mnie męczy i peszy. Przyjaciołom się wydaje, że pragnę ich obecności, ale tak nie jest. Dlatego Maria wszystkim odmawia. Najprawdziwszym nieszczęściem w całym tym nieszczęściu jest to, że nie mogę jeść. Mogę tylko pić, a i to niewiele. Okropność. Ja, taki łasuch i żarłok. Dobrze zjeść, dobrze wypić, słodkie łakomstwo. Czasami, kiedy jestem sam i gdy oczywiście ból mi zanadto nie dokucza, wyobrażam sobie najróżniejsze dania. Myślę, że spotkała mnie kara za obżarstwo, bo to przecież grzech śmiertelny. A co u ciebie, Anno? Co słychać?

Pytanie pada nagle. Surowości tonu towarzyszy baczne spojrzenie. No i proszę, przeszliśmy do rzeczy.

Anna jest zaskoczona, czerwieni się.

– Co wujek ma na myśli?

– Dokładnie to, o co pytam, nic innego. Co słychać?

---

\* „Klejnot królowej” (1834), powieść historyczna C.J.L. Almqvista (1793–1866), szwedzkiego prozaika, poety i publicysty, wybitnego przedstawiciela przełomu romantyzmu i realizmu (przyp. tłum.)



W jego głosie pobrzmiwa zniecierpliwienie. Tylko żadnych wykrętów. Odpowiadaj. Anna waha się, na moment ogarnia ją złość, po czym mówi, że nic szczególnego, wszystko w zasadzie po staremu. Nie narzeka. Dzieci czują się dobrze. Mama miała zapalenie płuc, ale już jest lepiej. Henryk żyje w dużym napięciu w związku z wyborem proboszcza, o czym wujek na pewno wie. Decyzja się opóźnia. Engberg jest przeciwny, ale podobno stary król chce Henryka i jak się to mówi, nominację odroczone. Dosyc to jednak wyczerpuje nerwowo.

Gest zniecierpliwienia. Staruszek przesuwa dłonią po twarzy, sarkastycznie się uśmiecha i chrząka.

– Nie oczekiwałem komunikatów. Chciałem się dowiedzieć, jak się Annie żyje, jak się miewa Henryk, jak się to wszystko między wami ułożyło. Od dziesięciu lat poważnie nie rozmawialiśmy. Więc może już czas. Gdzieś przeczytałem, że Tomas się ożenił, i słyszałem, że dostał posadę w Uppsalaslätten.

– Tak, też o tym słyszałam.

– Małomówna jesteś. Czy nie dowiem się, jak się to wszystko potoczyło? Nie jestem godzien?

– Nie wiem, czy jest o czym mówić.

– Poprosiłem Marię, żeby się z tobą skontaktowała, ponieważ nie chciałem zejść do grobu, nie wiedząc, jak się to potoczyło. Zawsze traktowałem cię jak własne dziecko, jak córkę. Nie ma dnia, żebym o tobie nie myślał. Wiem, że wasze małżeństwo się nie rozpadło. Nieraz miałem

ochotę o tym z tobą porozmawiać. Ale że z natury jestem człowiekiem leniwym, brakuje mi inicjatywy i odkładam na bok wszystko, co może zakłócić mój spokój, odłożyłem i to. Dopiero kiedy zmogła mnie choroba, wróciłem myślami do naszej rozmowy. Nie dawała mi spokoju. W końcu poprosiłem Marię, żeby cię odszukała. I spotkaliśmy się. Twarzą w twarz. Nadeszła odpowiednia pora.

Proboszcz mówi szybko, gorączkowo. Zmęczył się, odwraca głowę. Anna nie widzi jego oczu. Gładzi lewą dłonią ciemnoniebieski materiał sukienki. Połyskują ślubne obrączki.

Ponieważ cisza się przedłuża, Jakub rzuca Annie upominające spojrzenie. Chce wiedzieć.

I Anna kłamie. Spokojnie, beznamiętnie.

– Postuchałam rady wujka, już następnego dnia wieczorem, kiedy przyjechałam do domu letniego. Byliśmy sami. Wyznałam Henrykowi wszystko. Niczego nie ukrywałam, nawet spraw najbardziej bolesnych. Słuchał mnie w milczeniu. Patrzył na mnie i słowem się nie odezwał. Kiedy skończyłam, długo nic nie mówiliśmy, a potem Henryk powiedział: „Biedactwo, ależ musiało ci być ciężko”. I zaczęliśmy rozmawiać. Zdobyłam się na odwagę i powiedziałam o sobie więcej niż kiedykolwiek podczas dwunastu lat naszego wspólnego życia. To był bardzo szczególny wieczór. Miałam w pamięci słowa wujka. Żeby poddać próbie dojrzałość Henryka. Żadnych wyrzutów, żadnych gróźb ani goryczy. Żadnej złości.

- No widzisz, Anno?! Widzisz!

- Tak.

- A potem?

Anna namyśla się. Lewą dłonią przesuwa po sukience.

- Posłuchałam rady wujka. Zerwałam z Tomaszem. Nie było to łatwe, ale skoro o wszystkim powiedziałam Henrykowi, nie mogłam utrzymywać tego związku. I zerwałam z Tomaszem. Oczywiście nie obyło się bez łez. Teraz to już tylko piękne wspomnienie. Tomasz się ożenił. O czym wujek wie. Nigdy go już nie zobaczyłam.

- A przemęczenie Henryka?

- Pracował ponad siły, nie potrafi odmawiać, gdy się go o coś poprosi. Ten rok był pod wieloma względami dosyć ciężki. Dzieci chorowały. Ja też. No i to załamanie nerwowe Henryka. Nie chciałam się wtrącać, czekałam. Kiedy znów miał podjąć pracę, oczywiście były pewne problemy. I to właściwie wszystko. Miałam dwie operacje, byłam umierająca. Mama zajmowała się domem. Nie bez kłopotów, bo nigdy się z Henrykiem nie zgadzali... z latami trochę się to zmieniło... ale, nie przeczę, że zadawnione animozje zostały...

- A ty i Henryk?

- Mnie i Henryka łączą dobre stosunki koleżeńskie. Nasze kłótnie nie mają przykrych następstw... jak kiedyś. Henryk rozumie, że potrzebuję trochę swobody, tylko trochę. Latem wybieram się z dwiema znajomymi do Włoch, zwiedzać muzea.

Jakub głośno wciąga powietrze i zamyka oczy. Uśmiecha się.

– Szczerze mówiąc, niepokoiłem się. Nie miałem jednak odwagi spytać. Ulżyło mi po tym, co usłyszałem. I powiadam jak stary Symeon w kościele: „Teraz puszczasz sługę twego, Panie! według słowa twego, w pokoju”.

Jakub przytula Annę i zacisnąwszy wargi, niezdarnie całuje ją w policzek, tuż przy uchu. Wstrząsa nim tłumiony szloch.

– Przepraszam cię, nie zawsze najładniej pachnę. Roztkliwiłaś mnie swoją odwagą. Pamiętasz, jak staliśmy na Järnbron i liczyliśmy uppsalskie mosty?

– Tak.

Anna jest wzruszona, podchodzi do okna, wyciera oczy i pociąga nosem. Nie wolno płakać, nie teraz, tylko nie płakać.

Do pokoju wchodzi Maria. Szeptem naradza się z Jakubem. Dobrze, głośno i wyraźnie mówi staruszek. Tak zrobimy.

– Czy mogłabyś chwilkę poczekać za drzwiami, Anno? – pyta Maria. – Zaraz będziemy gotowi.

Naturalnie, odpowiada Anna, cicho zamyka za sobą drzwi i staje oko w oko z dziekanem Agrellem. Dziekan, w pełnym rynsztunku, jest kilka lat starszy od Jakuba.

Jego rumiana twarz świadczy o świetnym zdrowiu. Wypukłe czoło, siwe puszyste włosy szesane do tyłu. Żywe zimnoniebieskie oczy, badawcze spojrzenie.

– Jestem jednym z najstarszych przyjaciół Jakuba. Poprosił mnie o komunię. Dzisiaj mija

---

pięćdziesiąta druga rocznica naszych święceń kapłańskich.

W drzwiach pojawia się Maria, mówi, że już można, i wpuszcza księdza dziekana. Zamknąwszy za nim drzwi, stoi niezdecydowana.

– Na parę minut Jakub chciał zostać z nim sam.

Dyskretny gest, przepraszające spojrzenie.

– Poczekasz, Anno?

– Tak.

– Jakub z pewnością się ucieszy, że...

– Tak.

– Pamiętam pewien wieczór sprzed wielu lat, to było chyba w tysiąc dziewięćset siódmym. Jakub usiadł na moim łóżku i powiedział: „Czy możesz sobie to wyobrazić, Mario, że Anna Åkerblom nie chce przyjąć komunii?” Całą noc nie spał. Był zdumiony, zdenerwowany i głęboko zmartwiony. A jednak poszłaś.

– Tak.

– Dlaczego? Pytam z ciekawości.

– Powód był prosty. Kiedy powiedziałam mamie, że nie zamierzam przystąpić do komunii, bardzo się rozgniewała, nazwała mnie samolubną i rozpieszczoną dziewczuchą, powiedziała, że powinnam się wstydzić, że kompromituję rodzinę i że ona nie będzie tolerować takich wygłupów. A na odchodne, zanim trzasnęła drzwiami, dodała, że odwoła naszą wspólną wycieczkę do Grecji i że oczywiście mam wolną rękę, i powinnam iść za głosem sumienia. Dlatego przystąpiłam do komunii.

Uśmiechają się na myśl o matce Anny, osobie

stanowczej, a obecnie dosyć kruchej starszej pani, która mieszka sama w dużym domu przy Trädgårdsgatan.

– Pozdrów Karin ode mnie. Niestety, dawno się nie widziałyśmy. Ale tyle mamy ostatnio kłopotów, choroba...

– Pozdrowię.

Drzwi się uchylają. Maria bierze Annę za rękę i wchodzi do chorego. Na niskim stoliku obok krzesła palą się dwie świece w wysokich cynowych świecznikach. Na haftowanym obrusie stoi połączony kielich z winem i połączona tacka z opłatkami. Dziekan Agrell pochyla się nad Jakubem. Rozmawiają szeptem. Na zasobnych regałach układają swoje wzory ostre promienie słońca. Zegar w salonie wybija pierwszą. Dzwonią dzwony kościoła św. Trójcy.

Dziekan skinieniem głowy prosi obie kobiety, które zatrzymały się przy drzwiach, żeby podeszły bliżej. Maria podaje Annie rękę i prowadzi za sobą. Jakub zamknął oczy. Jego duże dłonie spoczywają na szerokich poręczach krzesła. W jaskrawym świetle wydaje się śmiertelnie blady, nieobecny, wolny od fizycznego bólu. Siedzi wyprostowany, skupiony. Maria poprawia mu włosy, strzepuje z ramienia marynarki drobinki kurzu, a potem szybko się pochyla i szepce parę słów do jego dużego ucha. Jakub ledwie zauważalnie się uśmiecha, oczy wciąż zamknięte, i coś odszeptuje.

Agrell podnosi z prowizorycznego ołtarza modlitewnik, chwilę stoi zamyślony, po czym bardzo

---

---

cicho czyta słowa komunii. Skupia się wyłącznie na chorym, jest z nim ciałem i duszą.

Maria przygląda się swoim splecionym dłoniom, skoncentrowana, jak w obliczu misji, która wkrótce się wypełni.

Anna zwraca twarz ku oślepiającym promieniom słońca, niech ją oślepią, hamowane łzy więzną w krtani i spływają do nosa, oddychaj spokojnie, tego nie da się nazwać, tych uczuć nie da się opisać. Teraz, w tym momencie, jest tylko Jakub i jego żona, Maria. Gdyby tak odwróciła wzrok od ostrej smugi światła wypełniającej przestrzeń między węglem kamienicy i rozłożystym drzewem... Nie może. Ale wie.

Agrell czyta:

– Pan Jezus, tej nocy, której był wydan, wziął chleb, A podziękowawszy, złamał i rzekł: „Bierzcie, jedzcie; to jest ciało moje, które za was bywa łamane; to czyńcie na pamiątkę moję”. Także i kielich, gdy było po wieczerzy, mówiąc: „Ten kielich jest nowy testament we krwi mojej; to czyńcie, ilekroć pić będziecie, na pamiątkę moję”. Ojciec nasz, któryś jest w niebiesiach! Święć się imię twoje; Przyjdź królestwo twoje; bądź wola twoja jako w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom; I nie wódz nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego; albowiem twoje jest królestwo i moc i chwała na wieki. Amen.

Anna i Maria klęczą podczas modlitwy. Jakub z pewnym wysiłkiem złożył dłonie. Oczy nadal

---

zamknięte, twarz spokojna, mroczne cienie pod oczyma. Porusza wargami, zatarte słowa.

Dziekan bierze tackę z opłatkami, podchodzi do chorego, pochyla się. Jakub otwiera usta.

– Przyjmij ciało Chrystusa.

Kładzie dłoń na głowie Jakuba, a potem odwraca się i podaje opłatek Marii. Maria podnosi głowę.

– Przyjmij ciało Chrystusa.

Trzyma dłoń nad jej rzadkimi siwymi włosami, które silnie rozjaśnia ostre słońce. Na koniec podchodzi do Anny. Anna kręci głową. Nie, nie. Dziekan Agrell nie widzi, a może nie przyjmuje do wiadomości jej odmowy.

– Przyjmij ciało Chrystusa.

Oplątek. Znak błogosławieństwa. Nie patrzy na nią. Nikt nie zwraca na nią uwagi. Brzemie, chciałyby się osunąć na podłogę. Powstrzymuje się.

Dziekan ostrożnie podsuwa pod usta chorego kielich z winem.

– Przyjmij krew Chrystusa.

Potem odwraca się do Marii, która nie spuszcza wzroku z kielicha.

– Przyjmij krew Chrystusa.

Wreszcie Anna, wreszcie Anna.

– Przyjmij krew Chrystusa.

Agrell cofa się o krok i mówi do zgromadzonych:

– Niechaj Jezus Chrystus, którego ciało i krew przyjęliście, zapewni wam życie wieczne! Amen.

Jakub otwiera oczy i z lekkim uśmiechem patrzy na swojego konfratę. Nie zapomnij o hymnie.



– Już czytam.

Jakub zamyka oczy, dziekan czyta:

– Na koniec proszę cię, Boże: Weź moją rękę w swoją dłoń, Poprowadź mnie na łany hoże, gdzie wieczna radość rosi skroń, Gdzie kłopotom wszelkim kres i gdzie życie kończy bieg. Tobie ducha dziś powierzam, weź go...

Jakuba chwyta silny skurcz, przyciska dłonie do warg, po brodzie płynie żółtawa strużka. W kolejnym spazmie, któremu towarzyszy głuche beknięcie, z ust wydostaje się krew i flegma. Jakub usiłuje wstać, daremnie, z trudem łapie powietrze. Anna chwyta go za ramię i unosi, żona ujmuje go za drugą rękę. Na ciemny garnitur sączy się szara lepka ciecz.

Atak mija, nie trwał dłużej niż minutę. Agrell wyciera Jakubowi usta i nos swoją chustką. Chyba siostra Ellen jeszcze nie wyszła, pospiesznie mówi Maria, powinna jeszcze być. Czy mogłabyś po nią pójść, Anno? Na pewno gdzieś jest w mieszkaniu.

Anna wybiega przez salon do przedpokoju. Drzwi na korytarz łączący kuchnię z jadalnią są otwarte.

Siostra Ellen siedzi w kuchni i popijając kawę, czyta „Upsala Nya Tidning”. Niech siostra natychmiast przyjdzie. Proboszczowi się pogorszyło. Siostra wychodzi, Anna stoi w przedpokoju. Głosy, pospieszne kroki. Szum spuszczonej wody w łazience, szum w rurach, trzask zamykanych drzwi.

## Epilog – Prolog

*maj 1907*

– Konfirmant staje przed Bogiem... przed obliczem Boga. Bóg przyjmuje tych, którzy się do niego uciekają. Podczas komunii chce widzieć potrzebujących przebaczenia, gotowych stać się jego dziećmi. Moi drodzy, odmówmy teraz wspólnie błogosławieństwo: „Niechaj ci błogosławi Pan, a niechaj cię strzeże; Niech rozjaśni Pan oblicze swoje nad tobą, a niech ci miłościw będzie; Niech obróci Pan twarz swoją ku tobie, a niechaj ci da pokój”. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Te oto słowa padają pewnego majowego wieczoru roku 1907 przy jednym z bocznych ołtarzy katedry, gdzie Jakub zgromadził w przeddzień konfirmacji swoich uczniów: dwanaście dziewcząt i czterech chłopców. Jest wśród nich Anna Akerblom, lat siedemnaście.

Na zachowanej fotografii siedzi z prawej strony pastora w pięknej konfirmacyjnej sukni. Głowa lekko wysunięta. Patrzy na mnie badawczo.

Tego wieczoru ma na sobie kraciatą bluzkę z szerokimi półdługimi rękawami i dużym, spiętym

srebrną broszką, koronkowym kołnierzykiem i granatową plisowaną spódnicę z cienkiej wełnki. Na serdecznym palcu prawej dłoni pierścionek z malutką kameą. Młoda dama nie jest może piękną, ale na pewno zwraca na siebie uwagę.

Jakub, lat czterdzieści sześć, rośli, duży mężczyzna o okazałych dłoniach, jest w nienagannie skrojonym surducie. Ma ciemnoblonde włosy, które częściej z przedziałkiem, duże, lekko wylupiate, przenikliwie niebieskie oczy, wysokie czoło, brwi gęste, proste, potężny, dominujący nad pozostałymi częściami twarzy nochal, szerokie, przesłonięte bujnymi węsami usta i kształtną, mocną brodę. Pamiętam, że mówił niskim głosem, o dialektalnym odcieniu.

W roku 1907 Jakub od wielu lat pracuje w archidiecezji i w niedalekiej przyszłości ma szansę zostać biskupem. Powinienem też dodać, że od dawna jest mile widzianym gościem w domu Akerblomów na Trädgårdsgatan.

– O wpół do jedenastej spotykamy się w sali parafialnej, kwadrans później w procesji wchodzimy do kościoła. Dopilnuję, żebyście trafili na swoje miejsca. Każde z was powinno mieć własny zbiór hymnów. Przed mszą nie wolno wam przyjmować kwiatów ani prezentów. Dzisiaj to już wszystko. Zobaczymy się jutro. Dobranoc, moje dzieci.

Pastor na moment opuszcza głowę i zamyka oczy, potem patrzy na uczniów z roztargnionym uśmiechem: Możecie już iść.

Chłopcy i dziewczęta błyskawicznie spełniają jego polecenie, początkowo w ciszy i skupieniu, po

chwili hałaśliwie, pokrzykując.

Przy ołtarzu objawia się nagle kościelny Stille, ustawia krzesła w równe rzędy, podnosi z posadzki zbiór hymnów. Jakub w zamyśleniu patrzy za dziećmi.

– Okropnie hałasują – konstatuje pan Stille. – Któreś z nich zgubiło zbiór hymnów. Tak, tak, tak. Jest podpisany, ale nie jestem w stanie tego odczytać. Samselius...?

– Ponieważ będzie pan przechodził przez salę parafialną, proszę go położyć na stole pod oknem.

– Dobrze, pastorze.

– No to idę po płaszcz. Dobranoc, panie Stille.

– Dobranoc, pastorze.

Jakub spieszy do zakrystii, dużego nieforemnego pomieszczenia. Wysokie sklepienie tonie w mroku, którego nie rozpraszaają senne lampy w zielonych abażurach. Pod ścianami stoi kilka przeszklonych szaf kryjących kościelne stroje i rekwizyty. Pośrodku stół z jasnego dębu i sześć krzeseł z wysokimi ornamentowanymi oparciami i zniszczonymi obiciami z czarnej skóry. Przy drzwiach wąskie wysokie lustro. Jest chłodno, zalatuje wapnem, pleśnią i doczesnymi szczątkami.

W zakrystii jest troje drzwi: łukowate prowadzą do ołtarza, smukłe i wąskie na ambonę, a niższe, dwuskrzydłowe do północnej bramy. Przed tymi ostatnimi stoi Anna. Ma na sobie jasny wiosenny płaszcz, zbyt dorosły, damski kapelusz z długą szpilką i rękawiczki. Trzyma zbiór hymnów. Pastor właśnie zdążył się ubrać i zdjął z półki kapelusz.

– Chciałabym z wujkiem Jakubem porozmawiać. Jeśli można. To znaczy, jeśli wujek ma czas. To nie potrwa długo.

– Odłóżmy tę rozmowę na przyszły tydzień. W środę będę miał mnóstwo czasu.

– W środę będzie za późno.

– Jak to, za późno?

– Moglibyśmy usiąść tutaj na chwilę?

– Tak, naturalnie. Tylko poproszę pana Stille, żeby jeszcze nie gasił światła i nie zamykał.

Jakub znika w głębi kościoła, słysząc jego rozmowę z panem Stille. Tak, tak, oczywiście, mam co robić. Niech pastor tylko powie, kiedy. Będę w pobliżu.

Jakub wraca, kładzie kapelusz na stole i sadowi się na jednym z sześciu krzeseł. Anna siedzi dosyć daleko od pastora, dzieli ich spora odległość. Rondo kapelusza ocienia jej twarz, przydaje anonimowości. Wyjmuje błyszczącą szpilę, zdejmuje kapelusz i przeprasza ją się uśmiecha.

– To mój nowy nabytek. Wydał mi się bardzo szykowny.

– No cóż, z czasem do niego dorośniesz. Na pewno będzie twarzowy.

Pastor ma ochotę spytać, co ją do niego sprowadza, ale się powstrzymuje. Czeka. Wyraźnie coś leży jej na sercu i nie bardzo wie, jak zacząć.

– Tata prosił, żebym wujka zaprosiła do nas na obiad w przyszłą niedzielę. Ponieważ ciocia Maria wyjechała do uzdrowiska, tata pomyślał, że wujek może czuć się samotny.

– Dziękuję, ale naprawdę nie wiem...

– W niedzielę o trzeciej w auli uniwersyteckiej będzie grał kwartet Aulina, a po koncercie muzycy przyjdą do nas na obiad. Tata mówi, że to bardzo sympatyczni starsi panowie i że wujek ich zna, w każdym razie na pewno Tora Aulina i Rudolfa Claessaona. Wieczorem wspólnie byśmy muzykowali.

– Brzmi zachęcająco.

– Mama jeszcze zadzwoni. Ale to nie dlatego...

– Domyślam się.

Oczekiwanie. Anna skubie zadarty paznokieć, próbuje coś powiedzieć. Jakub nie przynagla jej, czeka.

– Jest pewna trudność.

– Tak też sobie pomyślałem.

– Boję się, że wujek się na mnie pogniewa.

– Nie wydaje mi się, żebyś mogła mnie czymś rozgniewać.

Oczekiwanie. Przepraszający uśmiech. Łzy w oczach.

– Więc to jest tak...

– No, Anno! Wyduś to wreszcie!

Jakub nie dowiadyuje się, co znaczy owo „tak”, rezygnuje jednak z jakichkolwiek pytań.

– Więc to jest tak: Nie chcę przystępować do komunii.

Anna wyjmuje z torebki chusteczkę i wyciera nos.

– Skoro nie chcesz, musisz mieć jakieś poważne powody.

– Próbuję sobie wyobrazić, jak klęczę przed ołtarzem... opłatek, wino... Nie, to byłoby oszustwo.

– Mocno powiedziane.

– No dobrze, kłamstwo. Gdybym wzięła udział w tym... rytuale... grałabym... Nie mogę.

– Zróbmy sobie krótki spacer. Chodźmy do Odinslundu popatrzeć na wiosnę.

Anna kiwa głową i niepewnie się uśmiecha. Jakub otwiera drzwi prowadzące do kościoła. Zmierzch pograżający w półmroku sklepienie i chór przydaje wnętrzu tajemniczej nieskończoności.

Kościelny Stille macha ręką na pożegnanie i zamyka bramę.

Niespiesznie przecinają Biskopsgatan.

– Nie zimno ci? – pyta Jakub. – Nie? Usiądźmy na tej ławce. Czy wiesz, że kościół Świętej Trójcy nazywał się kiedyś „Bondkyrka”, od nazwy parafii? Stoi tu od końca dwunastego wieku. To dobre miejsce na pogawędkę o sprawach wiecznych. W cieniu nieskończoności.

– Czy wujek jest człowiekiem wierzącym?

– Na to pytanie mogę odpowiedzieć twierdząco. Tak, jestem. I mogę podać powód, którego nie zaneguje nawet najbardziej zatwardziały niedowiarek. Chcesz go poznać?

– Tak.

– Chrystus, kiedy został stracony przez ukrzyżowanie, odszedł z tego świata, przestał istnieć. Powiada się wprawdzie o pustym grobie, o aniele, który rozmawiał z kobietami, o tym, że Maria z Magdali spotkała Chrystusa i mówiła z nim, że Mistrz odwiedził swoich uczniów i pozwolił Tomaszowi dotknąć ran, ale wszystkie te ewangeliczne przypo-

wieści, pisane ku pokrzepieniu serc, nie mają nic wspólnego z cudem największym.

– Cudem?

– Tak, Anno, z cudem. Z czymś niepojętym. Pomyśl o uczniach, którzy się rozpierzchli niczym przerażone zające. Piotr się wyparł, Judasz zdradził. Wszystko się skończyło. Kilka tygodni po katastrofie potajemnie się spotykają, wystraszeni i zdenerwowani. Porażka stała się bolesnym faktem. Marzenia o budowaniu wespół z Mesjaszem nowego królestwa legły w gruzach. Upokorzeni i zawstydzeni, ledwie patrzą sobie w oczy. Rozmawiają o ucieczce, o emigracji, o pokajaniu się w synagodze i przed kapłanami. I właśnie teraz dokonuje się cud... niepojęty i wspaniały...

Jakub zawiesza głos. Robi retoryczną pauzę, żeby ocenić stopień zainteresowania swojej słuchaczki. W pobliżu nie ma nikogo. W Odinslundzie unosi się silny zapach kwiatów rosnących na długich rabatach i świeżych młodych liści wiązów. Przy Collegium Gustavianum mozolnie pnie się pod górę tramwaj. Ze zgrzytem pokonuje zakręt, wślizguje się na Biskopsgatan i znika przy Trädgårdsgatan. Słabo oświetlone okno wagonu wygląda jak ruchoma niebieska latarnia.

– Cud?

– Cud. Najbardziej wiarygodny, najzwyczajniejszy, ale i najwspanialszy ze wszystkich ewangelicznych cudów. Uczniowie siedzą w mrocznym pomieszczeniu. Może spożyli skromną wieczerzę, która przy-



pomniała im o ich wspólnym, ostatnim posiłku z Mistrzem. Są przygnębieni, zdesperowani i śmiertelnie przerażeni. I wstaje Piotr, ten, który się wyparł. Milczy. Patrzą na niego, zdumieni. Chce coś powiedzieć? Nie uchodzi przecież za dobrego mówcę, a po katastrofie stał się jeszcze bardziej milczący. Mimo to stoi przed nimi, tak, chce im coś powiedzieć. Wreszcie odzywa się. Początkowo duka coś niepewnie, wkrótce jednak wyraźnie się ośmiela i mówi, że czas skończyć z tchórzostwem. Dostyc hańby. Bo czyż on sam i oni, jego przyjaciele, nie byli przez dziewięć miesięcy świadkami czegoś wyjątkowego, czego nigdy przedtem nie doświadczył żaden człowiek? Słuchali nauk o miłości wiecznej, której nikt i nic nie pokona. Mistrz spojrział na nich, a oni do niego przystali. Słuchali go i rozumieli. Rozumieli, że są wybrani. Dziewięć miesięcy sycili się nową wiedzą, otoczeni niebywałą wręcz opieką. I cośmy zrobili? – pyta Piotr, gniewnie patrząc po przyjaciółach. Odwzajemniliśmy się Mistrzowi za jego dar, chowając się po norach jak parszywe szczury. Płyną godziny, dni, tygodnie, a my marnotrawimy bezcenny czas, więdziemy nędzny żywot, nie czynimy z Jego nauk żadnego pożytku. Myślę, mówi Piotr, myślę, że trzeba to zmienić. Bo nie ma nic żałośniejszego nad nasze obecne życie, jeśli to w ogóle jest życie. Zamiast tchórzliwie chować się po kątach, wyjdźmy z ukrycia i dopóty, dopóki nas nie schwytają, nie wezmą na tortury i nie zabiją, rozgłaszajmy wszystkim obecność w naszym życiu miłości, której dotąd nie dostrzegaliśmy. Nie mamy

innego wyjścia, chyba że za takowe uznamy własną śmierć w naszych zateęchłych norach. Pomyślcie: Nie tak dawno temu Mistrz przypadkiem nas zobaczył, zawołał do każdego po imieniu i kazał iść z sobą. Wybrał nas, każdego z osobna i wszystkich razem, ponieważ wiedział albo tak mu się zdawało, że będziemy głosicielami Jego nauk. Piotr spojrzął kolejno na swoich przyjaciół, wymawiając ich imiona. Było ich jedenastu, jako że Judasz się powiesił, ten, który być może najbardziej był Mistrzowi oddany i który postanowił się zemścić sądząc, że został opuszczony. Pamiętacie, jakimi słowami Mistrz nas do siebie przyzywał? „Pójdźcie za mną, a uczynię was rybakami ludzi”. Po słowach Piotra siedzący w ciemnościach przyjaciele odczuli ogromną ulgę. Zapalili lampki, nalali sobie wina i ustalili, dokąd każdy z nich się uda, by wypełnić misję. Następnego dnia rano ruszyli do swoich zadań. I dokonał się cud. W ciągu dwóch lat chrześcijaństwo zagościło na terenach położonych nad Morzem Śródziemnym, aż po północną Francję. Miliony ludzi stało się chrześcijanami, gotowymi znosić prześladowania i tortury.

– Tak.

– Tak to jest. Tak wygląda cud. I tego się trzymam. Niegodziwości, jakie się popełnia w imię miłości, to dzieło człowieka, niezbity dowód naszej wolności w dopuszczaniu się wszelkich możliwych zbrodni.

– Tak.

– Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Komunia to rodzaj poświadczenia, ma nam przypominać o współuczestniczeniu w cudzie.

– Jesienią idę do szkoły pielęgniarzkiej.

– Aha. Czy to pewne?

– Tak. Mama chce, żebym miała prawdziwy zawód, żebym nie była od nikogo zależna. Ale jej zdaniem pielęgniarzka to nic nadzwyczajnego.

– W każdym razie decyzja już zapadła.

– Jeśli się raz na coś zdecyduję, nie zmieniam zdania. A o czym wujek myśli?

– O czym myślę? Że nie trzeba bez przerwy powtarzać „kocham”, żeby spełniać uczynki w duchu miłości.

– Tak sobie właśnie wyobrażam swoje życie. Jako wykwalifikowana pielęgniarzka, podejmę pracę w misji i wyjadę do Azji. Już o tym rozmawiałam z Rosą André. Wpisała mnie, ale ponieważ nie jestem pełnoletnia, mogę się jeszcze wycofać.

– Ale twoja matka o tym nie wie?

– Nie. Nic mamie nie mówiłam.

W maju strumyk Fyris zamienia się w prawdziwą rzekę, potok, wściekłą kaskadę, której spienione brunatne wody z groźnym, głuchym pomrukiem zajadle biją o kamienny bulwar. Pod Järnbron spiętrzają się i przetaczają z zawrotną prędkością, zostawiając po sobie cierpki ziańb.

Anna i Jakub stoją na moście, dłonie na balustradzie, i patrzą w szumiący bystry nurt. Choć nie jest ciemno, latarnicy już zaczęli pracę. Anna zdjęła swój szykowny kapelusz i trzyma go w rękę.

Nagle kapelusz ląduje w wodzie. Szpilę, stroik, jedwabną wstążkę porywa wir, obraca i wsysa pod most.

– Wypadł ci? – pyta Jakub.

– Odfrunął.

Anna dopada przeciwległej balustrady i ze śmiechem śledzi zabawnie podrygujące nakrycie głowy. Jakub, stojąc teraz nieco bliżej swojej uczennicy, patrzy na nią z nie pozbawionym zdziwienia uznaniem.

– Zrobiłaś to umyślnie?

– Oczywiście. Przecież wujkowi się nie podobał.

Anna odwraca się, zarzuca mu ręce na szyję i wtula twarz w szorstki materiał jego płaszcza. Twarde guziki. Jakub chce się odsunąć, ale Anna nie puszcza. Nie, nie, poczekaj, zaraz mi przejdzie, nic nie mów, pozwól mi się wtulić, to nic poważnego.

Stoją bez ruchu. Jakub delikatnie ją obejmuje. Anna mocniej przywiera czołem do jego piersi. Tak, tak jest dobrze. Nic nie mówmy.

– Nie możesz mi zabronić mówić.

– Ale ja nie chcę rozmawiać.

– A ja chcę.

– O czym?

– Zamierzałem powiedzieć, że na Fyris jest siedem mostów: Islandsbron, Västgötaspången, Nybron, Dombron, Järnbron, Hagalundsbron i Luthagenspången. Siedem.

– Jak siedem grzechów głównych.

– Mogłabyś je wymienić?

– Lenistwo, gniew, pijaństwo, zazdrość, nieczystość, chciwość, pycha. Siedem?

– Siedem. Chodźmy, Anno, bo zmarzniemy.

Zatrzymują się przy filarze mostu i słuchają czystych tonów Gunilli.

– Gunilla wybiła dziewiątą. Tata na pewno zaczyna się zastanawiać, gdzie się podziewasz.

– A mama jest zła.

Wkrótce stoją na rogu Drottninggatan i Trädgårdsgatan.

– Dalej nie będę cię odprowadzał. Tu się pożegnamy.

– Dziękuję. Dobranoc.

Stoją. Jakub przytrzymuje jej dłoń.

– Zadzwoń do mnie jutro o ósmej rano, będę u siebie w gabinecie, i powiedz, co zdecydowałaś. Czy przystąpisz do komunii, czy nie.

– Zadzwonię. Najgorzej będzie z mamą i gośćmi. No i moja śliczna konfirmacyjna sukienka. Nie zobaczy wujek mojej ślicznej sukienki.

– Więcej powagi, Anno!

– Jestem poważna. Za chwilę poważnie się rozpłaczę.

– Idź do swojego pokoju, zamknij drzwi i płacz. A jak się wypłaczesz, podejmiesz decyzję.

– To takie proste?

– Oczywiście, że proste.

Jakub dotyka jej policzka, po czym rażnym krokiem udaje się w kierunku Slottsbacken i Caroliny Redivivy\*.

Anna nie czeka. Spieszy do domu.

Fårö, 8 czerwca 1994

\*Gmach biblioteki uniwersyteckiej (przyp. tłum.)